

27568



1.50



ks.
MARJA CZESKA . MĄCZYŃSKA

NA ROZDROŻU

KSIĄŻKI ZAJMUJĄCE

TOM 23.

MARJA CZESKA - MĄCZYŃSKA

NA ROZDROŻU

POWIEŚĆ

W Y D A W N I C T W O
„KSIĄŻEK ZAJMUJĄCYCH“
KSIĄŻNICY NAUKOWEJ W PRZEMYSŁU.

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA

NA ROZDROŻU



Z DRUKARNI JANA ŁAZORA W PRZEMYŚLU.



884-3

27568

K47/84



— Mamo!

— Jezus Marja! Janka! Doprawdy Janka! No i czemuś nie napisała, że przyjedziesz kociaku? Byłby ojciec konie posłał na dworzec... Ucieszy się stary Januś! dziecino... moja...

Pani Anna Leszetycka tuli córkę długo, gorąco... Pięć lat przecież... od dnia ślubu nie miała jej u siebie w domu. I oto teraz tak niespodziewanie.

— Skądże się tu wzięłaś, kociaku? Sama? czy z całym dworem? Przywiozłaś dziadkom wnuczeta? Gdzie są?

— Nie przywiozłam, matusiu — pani Janka Rolska żywo odwraca swoją piękną, złotą główkę, nie dość szybko jednak, by zaniepokojone oczy matki nie dostrzegły... łez... co nagle wilgotną, ciężką mgłą przysłaniają jej źrenice.

— Dziecino... co tobie? stało się co złego u was?

— Ale cóż znowu! Synowie zostali przy ojcu... A ja... ja zatęskniłam nagle za naszym starym dworkiem, za lasem, stawem, za wami i przyjechałam — na parę tygodni.

Janka żywo zrzuca płaszcz podróżny, kapelusz.

— Henryk mi pisał, że też chce wakacje przepędzić w domu... może i to wpłynęło na mnie.

— I szłaś aż tu piechotą... w taki upał?

— Ale cóż znowu, młody Roden przyjechał na urlop do domu i był tak grzeczny, że odwiózł mnie i rzeczy aż pod bramę.

— No, to się pułkownikowa swoim Bertim ucieszy... Ale że cię poznał!

— O, w tym sezonie spotykaliśmy się często i nasza stara znajomość odżyła.

— Czekajże Januś, tyś pewno [głodna, nie spodziewałam się ciebie... kawę mam tylko, ale dobrą. Chlebuś świeży, wczoraj dopiero Tekla upiekła. Rozgoście się tymczasem dziecino, zaraz cię nakarmimy.

— Gdzież tatuś?

— U proboszcza pewno, posłę Teklę.

Z progu raz jeszcze pani Anna wraca i raz jeszcze długo, gorąco całuje córkę.

— Nie wiesz, jaką mi swoim przyjazdem sprawiłaś radość, dziecino...

= Radość?...

Wilgotne oczy Janki odprowadzają spojrzeniem postać matki aż do drzwi.

Biedna, biedna mamusia... Jaka ona szczęśliwa, że jej pisklę do domu wróciło... gdyby wiedziała... Gdyby wiedziała, jaka burza to jej pisklę przyniosła do rodzinnego gniazda, przemieniłaby się ta radość w łzy może. Poco ma wiedzieć, poco zakłócać jej tę radość serdeczną. Parę tygodni ciszy... niczem niezamąconego spokoju, a potem... Tymczasem tylko spokoju! spokoju! Jak się tu nic nie zmieniło, te same białe ściany, zegar stary, meble ciężkie, dębowe, fotel ojca, stolik z robotą mamy, za oknem ten sam ogródek kwiatów pełny i stare lipy... A tam dalej staw połyskuje srebrzysto, łąki się zielenią, miasteczko widać, wieże kościoła i czerwony dach dworku Rodenów.

Janka przymyka oczy, zdaje jej się, że dzieckiem jest znowu szczęśliwym.

Ale oto i matka wraca.

Tekla niesie tacę z kawą i jej pocziwa, szeroka twarz śmieje się do Janki życzliwie.

— Po naszej młodej pani to ta wcale tych pięciu lat nie znać... jakby jeszcze panienka nasza.

I matka się uśmiecha.

— Nic mi się nie zmieniłaś dziecińo. — Te same dziewczęce smukłe linje, ta sama twarzyczka o precudnym owalu w koronie złocistych warkoczy. I oczy te same głębokie, błękitne pod cieniem rzęs długich. Jedno tylko uderza panią Leszetycką jakimś obcym tonem w tym znanym obrazie, a to te szybkie nerwowe ruchy, ta jakaś sztuczna wesołość.

— Ale matusiu, doprawdy pięć lat nie piłam takiej kawy, to my się tu oboje z Henrykiem roztyjemy. Kiedyż ten nasz sławny chłopak przyjeżdża?

— Za parę dni... Weźże Januś masła, to od twojej krasuli.

— Ale! ma mama jeszcze krasulę? Jak się tu u was nic nie zmieniło... Henryk podobno nad jakimś wynalazkiem pracuje?

— Wiesz Janko, że mnie to wcale nie cieszy... z egzaminami się spóźnia przez to, jużby mógł być od dwóch lat na posadzie, żeby... żeby nie ten wynalazek.

— Ale za to jeżeli mu się uda...

— I, moje dziecko, stare przysłowie mówi: lepszy wróbel w garści, niżeli kanarek na dachu. Ale Janko, doprawdy gniewam się na ciebie za to, żeś mi chłopaków nie przywiozła,

byłyby sobie bachorzęta użyły na swobodzie. Dzieciom, takim małym, źle bez matki. Jabym was nigdy nie była odjechała na dłużej.

— Mają dobrą bonę... Leon wystarał się o jakąś przemądrą Angielkę, która z naszych dzieci ma zrobić ideały męskiej siły. Czy jej się uda Zdzisiowi angielską chorobę, a Tomkowi skłonność do skroful wypędzić, to znowu inna rzecz.

Pani Leszetyckiej wypadła z drżących rąk serweta.

— Nic nam nie pisałaś o tem, Janko, że ci dzieci chorują.

— Co to pisać, matusiu? To przecież teraz taka zwykła rzecz... Leon myśli, że higiena wychowania potrafi wynagrodzić wady odziedziczone... Zmniejszyć je może... to pewna, ale zdrowe dzieci! Zdrowemi mogą być tylko te, które mają zdrowego ojca... a Leon...

Pani Janka urywa nagle, po jej jasnej twarzyczce przebiegają gorącą falą rumieńce, tak jej żal matki... te szeroko rozwarte, zdumione, bezradne, żalodne, szare oczy... I Janka usiłuje zmienić przedmiot rozmowy.

— Posłała mama po tatusia?

— Nie było go u proboszcza, pewno się gdzie w polu zasiedziało... wróci zaraz, bo o szóstej musi iść z pułkownikiem na ryby.

— Mama jeszcze po dawnemu serdecznie z Rodenami?

— A po dawnemu, Rodenowa wprawdzie Niemka, ale tyle lat już są na naszej ziemi. Pułkownik zawsze sprzecza się z ojcem o przekonania, ale ostatecznie, dla takich starych emerytów, to i to rozrywka. Ojciec Polak całą duszą — tamten swoją Austrię ubóstwia, pokłóca się czasem tak, że i nam kobietom zabronią wizyt, a za parę dni znów w zgodzie na ryby idą albo w szachy grają. Żal mi ich nieraz, starsze dzieci wymarły. Berti, niepamiętne czasy jak nie był w domu, doprawdy gdzieś, z kadeckiej szkoły jeszcze. Pułkownik coś na serce słabuje... Ale, dziecino, co będziemy o obcych mówić, opowiadaj lepiej o sobie. Twoje listy takie zawsze krótkie, iż mnie nieraz dobrze serce bolało, że mi tak nic do powiedzenia nie masz.

— Bo i nie było co opowiadać, matusiu... życie tak pędzi w takim wielkim mieście, stanowisko Leona narzuca tyle obowiązków towarzyskich, a dzieci...

— A czemu ty mnie Januś nie chciałaś mieć ani pierwszy ani drugi raz przy słabości?

— Moja matusiu, to przecież już nie dla ciebie takie umęczenie; potem wiem jakby się

ojcu czas dłużył, gospodarstwo cierpiało. A ja... ja miałam wszystko... — ironiczny pół-uśmiech przebiega usta Janki — co za pieniądze mieć można. Pierwszych doktorów, pierwsze akuszerki i staranną opiekę — roześmiała się — a żebyś mamó była widziała Leona... jego zimna, kupiecka natura topniała pod wpływem dumy, że go natura zrobiła ojcem.

— Więc Leon kocha dzieci?

— Po swojemu... Kochałby je jeszcze więcej, gdyby kabłąkowane nóżki Zdzisia i zielona twarzyczka Tonka nie wystawiały jego ojcostwu tak ujemnego świadectwa.

Rozmowa urywa się na chwilę, bo Tekla sprząta ze stołu, a gdy jej szeroko biodrzysta postać ginie za drzwiami, pani Anna przyciąga córkę do siebie, na kanapę. Jej spracowane dłonie obejmuje ciepłym uściskiem białe, wąskie paluszki Janki.

— A jak... jak wy żyjecie? Kochacie się jeszcze jak wtedy?

W ciszę pokoju pada zapytanie.

— Albożeśmy się to kiedy kochali, mamó? — głos Janki drży wzruszeniem. — Ja sobie Leona ubrałam we wszystkie cnoty, które chciałam widzieć w mężu, jak dziecko lalkę stroi — rzeczywistość przyszła, barwne gałganki opadły

i manekin został. Ty płaczesz matuś, mój Boże!... — Usta Janki przypadają do rąk matki w długim pocałunku. — Matuś, to przecież zwykły los nas, dziewcząt. Przecież i tobie pewno życie niejedno złudzenie rozwiało...

— Dziecko moje, a ja myślałam, że lepszej doli dla ciebie być nie może. A on... on...

— On? On to sobie taki on, matusiu, co się dobrze bawił i pewnego dnia zauważył, że zaczyna łysieć, że nogi drżą w kolanach i że dobrzeby było stać się mężem zdrowej żony, mieć dzieci, własny dom, rodzaj przytułku. Więc przyjechał do małego miasta, by poszukać sobie takiej niewinnej, swojskiej dziewczeczki, zbałamucić, olśnić swoją salonową rutyną, sztuką udawania, zabłysnąć rodzicom w oczy posadą i zabrać dziewczynkę i posag... A potem przychodzi podróż poślubna, znajomość życia, dzieci... Pycha stanowiska ma wynagrodzić pustkę serca, wygody, zbytek zapłacić niewolnicy za zmarnowane życie, za głód duszy... Ach! Nareszcie ojciec wraca... mój drogi tatuś! — I Janka jak strzała przebiega ogród, siwemu mężczyźnie oplata ramionami szyję.

— Tatusiu!

— Januś! — Pod siwawym wąsem drżą usta wzruszeniem. — Dalibóg niespodzianka praw-

dziwa! Nic na kobietę nie wyglądasz. No, a gdzie wnuki? Bo żeś mi wiarusów przywiozła, to pewne, prawda? A może i Leon jest.

— Chłopcy zostali przy ojcu, a ja raz chciałam znowu po dawnemu, być u rodziców... dziewczynką. Żłem zrobiła?

— Ale dobrze, dobrze. Tylko wnuki mogłaś być przywieźć, przecież ich nie znamy nawet dotąd.

— Fotografję przywiozłam.

— To mi pociecha! Może i gramofon, żebym usłyszała „dziadziu!“ No to się matka pewno zbeczała z radości, bo u was, kobiet, to łyż zawsze w pogotowiu. Miałem iść z pułkownikiem na ryby, ale to sobie odłożyłem do jutra, pójdiesz i ty z nami, co?

— Dobrze.

— No, nie mówiłem — śmieje się Leszetycki, wchodząc do jadalni — matka z chustką.

— Widzisz stara, wesoło będzie, jakoś piskłeta tego roku ciągną do starych gniazd. Janka, Henryś, odmłodniejemy.

— I do Rodenów Berti przyjechał.

— To się pułkownikowi własna umundurowana młodość przypomni... no, ale ryby to na dziś z pewnością przepadły. — Wygodnie w starym skórzanym fotelu zatapia się mała figurka

radcy. — No Januś, poszukaj okularów i prezentuj konterfekty bachorów...

— Przywiozłaś fotografię?

— A jakże, przywiozła, na drugi raz przywiezie kinematograf, żebyśmy wiedzieli, jak się wnuki bawią.

— A gdzie okulary tatusia?

— Toś zapomniała, pod gazetą na stoliku, jak zawsze.

Janka się śmieje, ale gdy po chwili wyciąga z eleganckiej torby podróżnej fotografię gabinetową dzieci, przebiega po jej twarzyczce nagły wyraz cierpienia.

Zapatrzyli się staruszkowie w twarzyczki wnuków, zwilgotniały oczy.

Takie to biedne, mizerne... Zdziś gruby, na kabłąkowatych nogach, z wielkimi, obojętnymi oczyma. Tonek z dużą głową na malutkim korpusie...

— Coś mi niebardzo okazałe wydanie — żartuje ojciec.

— Obydwaj bardzo do ojca podobni, tak w usposobieniach, jak z powierzchowności... Jeszcze Tonek może troszkę i mnie przypomina.

— Czy to urodzony kawalerzysta, czy to mi-zerniątko obok?

— To... mizerniátko.

— Mogłaś ich była przywieźć... słońce, powietrze, to zdrowie.

— Dzieci z Leonem i boną pojedą zapewne w tym tygodniu jeszcze do Iwonicza.

— No wiesz Janko... tak jak mi, miło żeś przyjechała, to nie rozumiem jak mogłaś opuścić dzieci. Jakie z was teraz dziwne matki, tak wam lekko rozstać się z dziećmi.

— Lekko?!

Płomień rumieńca rozpała bladą twarzyczkę Janki, ściska się serce do bólu prawie, ale śmieją usta.

— Moja matusiu, dzieci teraz takie mądre, że niedługo to im matka tylko przy urodzeniu będzie potrzebna...

— Oho, idzie Kaśka od pułkowników, pewno ryby przepadły — radca żywo wybiega na ganek.

— Cóż tam Kasiu nowego?

— Wielmożni państwo kazali się kłaniać i wielmożny pan przeprasza, że na ryby dziś nie pójdzie, bo młody pan przyjechał i stary pan nie chce iść bez młodego pana, a wielmożna pani znów młodego pana puścić nie chce.

— Niechże Kasia to samo, tylko młodego pana na młodą panią zamieniwszy, od nas powtórzy. Ale jutro, o szóstej, czekamy.

Leszetycki wraca do pokoju.

— Januś, nim matka kolację przystroi, pokażę ci moje róże, remontanty, hiacenty, mówię ci, pęcha!

Słońce zachodzi, różowe blaski złocą wierzchołki lip. Leszetycki z dumą pokazuje córce róże wiosenne od kwiecica ciężkie, gwoździki białe, olbrzymie, hiacenty różnobarwne.

Pięć lat temu...

Jakże swobodnie, wesoło uwijała się Janka po tym ogródku, boli ją dziś wspomnienie samo.

— Widzisz, to ta róża, cośmy to ją sadzili przed twoim ślubem, pamiętasz? Prawda, jak się rozrosła. Potrzymajno tę gałąź, zaraz tyczko z domu przyniosę i przywiążę, bo taka od kwiecica ciężka, żeby się złamać mogła.

Zwawo postać małego radcy dąży ku domowi.

Janka wspomnienia myślą goni...

Ile razy w tym ogródku, wśród tych róż, objęło ją ramię Leona, jak jego trywialna natura umiała się schować pod gładką maskę

światowca. Jak ona go kochała. Fantazją własną, nie jego...

A potem...

Och, jak to boli! boli, gdy na taką biedną dziewczynkę znajomość życia spływa. I odziera tego bożka, któremu dusza ołtarz wystawiła zwolna, bezlitośnie z szat fantastycznych...

A potem... potem.

Gdy na świat przychodzą dzieci ze stygmatem niedoli na całe przyszłe życie.

Dreszcz wstrząsa smukłą postacią Janki... Nie myśleć lepiej!

A gdy potem raz jeszcze serce zabije, ale już nie dla fantomu wyobraźni, ale dla człowieka, cóż wtedy?

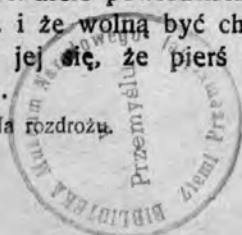
Stargać kajdany?

Czy wlec je niewolniczo przez życie całe i dać zamierać swemu wolnemu ja, w tem upodleniu?

Czyż małżeństwo nie staje się prostytutką z chwilą, gdy brak w niem miłości... szacunku?...

Niel Janka jest przekonana, że zrobiła dobrze... Otwarcie powiedziała mężowi, że kocha innego... i że wolną być chce... Wolną!...

Zdaje jej się, że pierś szerzej, swobodniej oddycha.



Dzieci ?...

Kobietą była przecież pierwej, zanim praw natury zrobiły ją matką.

A czyż zresztą Leon nie starał się o to, by mamki, bony, nurse okradały ją z pieśczoł z przywiązania..., z możności jakiejś wspólnej serdecznej...

Matką im była tylko w chwili, gdy życie da wała... Kochała je wtedy... Narzucaniem coraz nowych obowiązków towarzyskich, reprezentacyjnych tłumił Leon w jej duszy to jedyné uczucie, które mogło ją było zmusić do wy trwania przy jego boku. .

— I cóż się tak zadumała Janiu ?

Stary Leszetycki powrócił z łyczkiem — jego różowa twarz, okolona siwą czupryną, śmieje się do córki.

— Ot tak... przypomniały mi się te czasy kiedyśmy razem te róże sadzili... Jaki ten nasz domek cichy... jak go te stare lipy otoczyły, jak gdyby troszce wzbronić chciały przystępu... I ta moc kwiatów... Czyś ty bardzo kochał mamę, tatusiu ?...

— No pewnie, żeśmy się za młodu kochali... a potem żyło się dla was, dla dzieci, a teraz... to taki pogodny wieczór... Życie namiętności pogasiło, pokładły się burze, ot żyjemy jak

przyjaciół dwoje... Cieszymy się wami... jakby drugą wiosną.

„Smutną wiosną“... łka w duszy Janki.

* * *

Długo w noc w swoim dawnym panieńskim pokoiku zasnąć nie mogła.

Tak tu wszystko zostało, jak gdyby wczoraj odeszła, nawet na biurku zaczęty list do narzeczzonego leży. Gorzki uśmiech przebiega usta Janki gdy czyta :

„Moje ty wszystko“...

Wszystkiem był jej wtedy... a dzisiaj?...

W małym dworku pułkownika jeszcze lampa w jadalni płonie... starzy rodzice nie mogą się dość nacieszyć jedynakiem.

Pani Teresa w swoje małe, pulchne rączki co chwila ujmuje silną, nerwową dłoń syna i może po raz setny stwierdza, że Berti ogromnie źle wygląda.

— Tak zeszczupaleś... mundur doprawdy wisi na tobie. Ale czekajno, już ja ciebie odkarmię, odchucham... Prawda papo, że on przecie ogromnie zmizerniał?

I papa rzeczywiście przyznaje w duchu, że twarz syna nosi piętno znużenia, a czarne gę-



boko zapadłe oczy przerażają go nieomal^ogo rączkowym blaskiem...

— No, dobrze nie wyglądasz... — I papie przypomina się własna, umundurowana młodość, mimowoli filuternie przymruża oczy. — Lampartowałeś się trochę... co?...

— Jakto dobrze, żeś turlop wziął... wypoczniesz, a możeś chory był... co?...

— Ależ nie, mam, ot takie jakieś rozprężenie duchowe tylko...

— Donnerwetter! Odkądże to żołnierze cierpią na rozprężenie duchowe?... Wstyd, mój poruczniku!

— Przecież i żołnierz ma prawo być człowiekiem... czuć i cierpieć po ludzku, ojcze...

Staremu na czole nabrzmiały żyły, ręka matki ostrzegawczo ściska dłoń syna i Berti się śmieje.

— Zostawmy lepiej ten niebezpieczny temat ojcze... Tyle lat nie byliśmy razem, dlaczego mamy sobie zaraz pierwszy wieczór psuć dyspułą.

— Mam nadzieję, że przekonania mego syna, niedaleko odbiegły od moich...

I Berti znów prosi.

— Zostawmy to ojcze.... I po chwili dorzuca niechętnie niemal. — Od czasu, gdy ty służyłeś...

zmieniło się wiele czy w armji czy w duszach ludzkich... nie wiem, ale zmieniło się. Ty miałeś szczęście służyć w czasie, gdy żołnierz był jeszcze żołnierzem czynu... gdy osobiste bohaterstwo coś znaczyło... Magenta, Solferino widziały cię na polu walki... A ja... żołnierz pokoju... brak czynu, brak celu, zero...

— Berti... i ty mój syn możesz się wyrażać w ten sposób o najbardziej honorowem powołaniu na świecie?

— O powołaniu, wtóre z ludzi robi niewolników... zabija każdy cień myśli wolnej... nawet serce zmusza, ażeby kochało standesgemaess powyżej trzydziestu tysięcy. I że w armji tylu mamy graczy, lekkomyślników, alkoholików — tyle umysłowych zer — to wyniki tego systemu, dbającego tylko o siłę mięśni... Systemu, pragnącego zgnieść każdą indywidualność dyscypliną.. Przemienienie człowieka w ślepo posłuszny automat, to cały cel obecnego militaryzmu. I dlatego... — Berti urywa nagle... jego rozbłyśnięte zapaleń oczy spotykają pełne jakiegoś tępego bólu spojrzenie ojca... Ostre światło lampy pada na pochyloną jak śnieg białą głowę i na szramę czerwoną ciągnącą się wzdłuż czaszki... pamiątkę z pod Magenty... i Berti poj-

muje, jakim bólem muszą być dla tego starego żołnierza jego słowa i milczy...

Chwila ciszy... oczy pułkownikowej niespokojnie błagalnie przebiegają z ojca na syna. I wreszcie w ciszę pokoju pada ostry, przerywany wzruszeniem głos starego Rodena.

— Nie myślałem, że kiedyś taka przepaść poglądów oddzieli mnie od własnego dziecka...

I znów cisza — ta bolesna cisza, kiedy dusze czują, że każde słowo wywołałoby tylko dalsze nieporozumienie.

Spojrzenie Bertiego pada na pianino... i w chwili potem jego silny pełny głos intonuje prześliczną pieśń Körnera :

„Vater, ich rufe dich!...“

Te tony!

Prostuje się stary pułkownik..

O ileż razy... Każda austriacka msza połowa rozpoczyna się tą pieśnią.. serce pułkownika bije... biedne stare serce... Wspomnienia przeszłości zmartwychwstają z tonami pieśni...

Widzi młodość własną...

Pola... Magenty...

Huk wystrzałów... każda kula śmierć niesie... i to twarde poczucie obowiązku...

Pogardę śmierci...

I te jęki i tę krew dokoła...

I ten zapał tozsadzający pierś...
 Namiętną prośbą drży głos Bertiego.

Für mich zu Leben!
 Für mich zum Tode!...
 Herr, ich erkenne Deine Gebote.
 (Prowadź mnie do życia
 prowadź mnie do śmierci
 Panie, uznaję Twoje wyroki).

I w oczach pułkownika błyska łza i płynie
 zwolna, zwolna po zmarszczkami pooranej twarzy.

I Berti kończy pieśń-kołysankę dla starej du-
 szy ojca-żołnierza.

I gdy potem na dobranoc ujmuje ręce ojca,
 głos jego ma mimowiednie ten litościwy dźwięk,
 jakim człowiek dorosły przemawia do dziecka.

— Widzisz papo... najlepiej w przyszłości
 nie poruszajmy więcej tego tematu, bo... to do-
 prawdy nie ma celu... Dobranoc...

— Dobranoc...

W sypialni, na górze, pani Teresa poprawia
 śnieżno białe poduszki na łóżku syna.

— Mój Berti... uważaj, proszę cię, w obec-
 ności papy... papa się bardzo łatwo wzrusza,
 unosi... szkodzi mu to... Widzisz ty... ty masz
 całe życie przed sobą... papa — głos pułkow-
 nikowej łamie się wzruszeniem — papa przy

swojej sercowej chorobie... może tylko lata... Unikaj wszystkiego, co by go wzruszać mogło... moje dziecko...

Łagodnie jej ręka przesuwana się po czarnych włosach syna.

— Widzisz Berti... czterdzieści lat pracy w jednym zawodzie to ogromny przeciąg czasu. Papa był zawsze żołnierzem całą duszą, najlepszy dowód, że obydwóch swoich synów także temu zawodowi przeznaczył...

— Nieprawdaż mamó... Rudolf... odebrał sobie życie?... Byłem wtedy tak mały, że jak przez sen przypominam sobie to wszystko... ale chciałem wiedzieć.

Po twarzy pułkownikowej przebiega skurcz bólu.

— Tak, Rudi... się zatrzelił...

— Dlaczego mamó?...

— Nie wiem... Rudi... nie zostawił dla nas ani słowa...

— A co ty przypuszczasz, że mogło być powodem... mamó?

— Nie wie Berti... w tym roku właśnie papa poszedł na pensję i przenieśliśmy się tutaj... ty miałaś dwunasty rok, Rudi kończył trzydziesty... Był bardzo utalentowany, pisywał... z tego powodu miał trochę przykrości z przełożony-

mi — awans się opóźnił. Nagle, jednego dnia dostaliśmy telegram... Rudi się zastrzelił...

— Mamó... i pomimo to, ojciec mnie oddał do kadeckiej szkoły?...

Ale moje dziecko, cóż to jedno miało do drugiego?...

— Dużo mamó... bo Rudolfa zabił militarizm i mimo to papa zdecydował się ofiarować mu drugiego syna.

— Ale mój Berti...

— Mamo, czy ty rozumiesz tę tęsknotę za czynem? to pragnienie zużytkowania duchowych sił dla pożytku społeczeństwa... Tę żądę wolności... I czy ty wiesz, co to znaczy z takimi pragnieniami w duszy żołnierzem być... i życie kłaść na wpajanie ślepego posłuszeństwa, na zabijanie dusz w drugich. Spełniać rozkazy czasem tak błędne, słuchać ludzi często tak ograniczonych i wiecznie i zawsze swoją wolę podporządkowywać woli cudzej. I ja mam jedno tylko pragnienie: zrzucić ten mundur o ile da się najprędzej.

— Ale moje dziecko... przecież ty... przecież ty papie tego nie zrobisz... Boże mój... Berti! papaby tego nie przeżył...

— Mam więc ja iść w ślady Rudolfa, mamó?

— Berti... najdroższy... ja cię nie rozumiem... przecież to służba dla kraju... dla cesarza... czy może być coś bardziej zadowolającego pragnienia mężczyzny?

— Ach mammo za tą błyszczącą tarczą podniosłych frazesów ukrywa się całe bezprawie, cała nędza moralna militaryzmu... I mnie, gdym osiemnastego sierpnia wraz ze stu kolegami, w obecności cesarza wygłosił podniosłe słowa przysięgi, biło serce zapałem... otwierająca się przede mną droga wydawała się uprzywilejowaną: bohaterstwa, honoru... sławy. O, zbyt prędko w małym garnizonie ostygł mój zapał... zamieniać ludzi w ślepe, posłuszne masy, by się armatom i karabinom dały mordować bez protestu... Cóżto za cel?... I samemu być narzędziem tylko — i gdy mi powiedzą: prowadź na lewo... choćbym wiedział, że rozkaz błędny... że ludzi powierzonych mi na śmierć prowadzę pewną i że na prawo wieść ich trzeba do zwycięstwa, to dyscyplina wojskowa każe mi iść ślepo za rozkazem. Jeżeli przeznaczycie mnie na żołnierza, to trzeba było zabronić mi myśleć... czuć... rozumieć! I ta walka wolnego ja, daje ten moralny upadek armji. Niewolnik się najpierw buntuje... potem szuka wyjścia... zapomnienia, jedni w kieliszku, drudzy w ramio,

nach kobiet, inni, jak Rudi, w kuli rewolwero-
wej znajdują... to zapomnienie. A jeszcze inni
niewolnictwo swoje noszą z dumą, bo duch
w nich śpi i nie zna pragnień żadnych.

— Mój Bertl, zasady twoje bołą mnie jako
matkę i żonę żołnierza. Papa ani głupi...
ani...

— Ależ — ja przecież tego nie stosuję do
papy... Papa w innych warunkach, w innym
czasie służył... wtedy jeszcze osobiste bohater-
stwo coś znaczyło — dziś, przy nadzwyczajnem
ulepszeniu broni palnej żołnierz... czuje śmierć...
ale jej nie widzi i bronić się nie może...

— Mój Bertl... da Bóg ożenisz się, zostaniesz
ojcem... przyzwyczajenie, jeżeli nie co innego
da ci przywiązanie do zawodu, w którym pra-
cujesz.

— Ożenię się!... Z miłości... — Zapominasz
mamo, że c. k. porucznik musi najpierw wyso-
kość kaucji obliczyć, zanim sercu bić pozwoli...
I tu nawet, w jego najtajniejsze, najbardziej
osobiste uczucia wgląda władza i tu nawet nie-
wolnikowi ciężą kajdany... Oh! zrzucić ten
mundur wraz z całą tą jego błyszczącą nędzą
Mamo, przecież i ja mam prawo do życia... do
wolności... do szczęścia. Ja kocham, mamo...
Kocham całą potęgą duszy...

Pani Teresa oddycha... przekonanie, że na dnie tego całego buntu spoczywa miłość, wraca jej równowagę. Miłość przejdzie i cały ten opór wolnego ją przeciw mundurowi... uspokoi się...

— Twoja... ukochana prawdopodobnie nie ma kaucji.

— Moja ukochana jest tak samo niewolnicą przestarzałych form jak i ja...

— Nie rozumiem...

— I nie trzeba żebyś zrozumiała mamó, bo wytworzyłoby to tylko dalszy ciąg nieporozumień.

— Naturalnie... gdzież my starzy możemy was młodych zrozumieć... Dobranoc.

Berti zrzuca bluzę i otwiera okno szeroko... Ciepła noc czerwcową odurza wonią kwiatów rozwitych... niebo tysiącami gwiazd mruga... słowicze pieśni dzwonią...

W pamięci staje mu cały ten rok ostatni...

Janka...

Ta pokrewność uczuć, która ich zbliżyła — to pragnienie wolności w niewoli... Ta przyjaźń szczerą, te rozmowy, w których dusza jej, jak kwiat do słońca rozchyłała przed nim swoją głębię... cały ten stosunek czysty, spokojny, od grzechu daleki. I jak nagle zrozumieli, że przyjaźń ich stała się miłością głęboką. Wieszot

był tak cichy, jak dzisiaj, Leon poszedł do klubu i zostawił ich na balkonie, samych — z dołu płynął gwar miasta... Rozmawiali spokojnie, jak zawsze. — Na sąsiednim balkonie ukazała się para, ramię mężczyzny obejmowało postać kobiety — śmiech dobiegł ku nim... główka kobiety opadła na ramię towarzysza... pocałunek...

Mimowiednie Berti spojrzał na Jankę i ta tęsknota, z którą spotkały się ich oczy, ten rumieniec gwałtowny i ta widmowa bladość po tem.

I ta burza pragnień, którą zapłonęła krew Bertiego... dała im zrozumienie.

Spokój ich zginął...

Pojęli oboje, że przyjaźń zmieniła się w miłość... do której... prawa nie mieli...

I Berti słyszy swój własny, dziwnie zmieniony głos...

I co teraz Janko?...

I widzi motylowe drżenie rzes... i to dziewczęce jakieś zawstydzenie... i tę rękę kurczowo przyciskającą serce... I potem to spojrzenie — głębokie, długie, takie dziwnie łzawe a silne...

— Co uczyniłbyś na mojem miejscu...

— Na postanowienie twoje nie chcę wpływać Janko.. do ciebie należy rozsądzić... wybrać...

— I drobne palce zacisnęły się wokół jego dłoni.

— Czyż są dwie drogi?

I sztuczna maska chłodu zginęła, gdzieś z głębi duszy głos się rwał.

— Ukochana...

I Berti odszedł... tego samego dnia jeszcze podał o urlop... nie chciał wpływać nawet obecnością swoją na postanowienie Janki.

A gdy w tydzień potem na dworcu rodzinnego miasteczka zobaczył ją przed sobą — na chwilę zdziwienie odebrało im mowę... obojgu.

— Ty tu?!...

Wybrałam... ale najpierw odpocząć pragnę trochę... w domu... w domu...

— To samo pragnienie miałem i ja... jeżeli jednak...

— Dlaczego?... nie nasza wola sprowadziła spotkanie... Los tak chciał... Nie wiedziałam, że jeden pociąg nas wiezie... Z domu wyjechałam tak nagle, że nawet nie napisałam do rodziców..

— Pozwolisz, że cię odwiozę... nasze konie czekają na mnie...

I gdy potem rozmawiają zupełnie obojętnie per pan i pani a wypasione bułanki pułkownika unoszą bryczkę po nierównej drodze, oboje

nie wiedzą jeszcze, jaką właściwie formę mają nadać swemu stosunkowi, w oczach świata...

A jak te kwiaty pachną...

Jakie życie tętni w tej ciszy...

* * *

Z pamiętnika Janki.

Nie mam odwagi... Tyle razy pragnęłam wszystko powiedzieć rodzicom i... nie mogłam.

W tym białym, cichym dworku, na tle tego spokoju... wobec tej siwej pary, nie mogę powiedzieć: „Rzuciłam mój dom... na zawsze, nie powrócę do męża i dzieci... bo kocham... Moralność tych starych ludzi zobaczy w tem, co mnie się wydaje naturalnem... występkiem...”

Gdyby mama była na mojem miejscu... obowiązek zagłuszyłby serce.

Biedni jesteśmy, my, młode pokolenie z tą mikroskopijną chęcią badania własnej duszy... gdybym ja mogła mniej myśleć!

I czem więcej myślę, tem chaotyczniej przedstawia mi się to życie wokoło.

Kocham... dusza moja kocha całą potęgą...

I niegodnem siebie uważam kłamanie uczuć, których nie mam... znoszenie pieśzczoł, które przejmują mnie wstrętem - - chowanie dzieci,

które były wynikiem zwierzęcego stosunku ciał tylko... Cóż naturalniejszego, moralniejszego, jak pójść za głosem serca... duszy. A oto kościół, świat, ludzie tę moralność naszą nazwą niemoralnością, upadkiem, grzechem...

Własna matka, gdy jej o swoim postanowieniu powiem, dojrzy w niem winę tylko...

A jeżeli dozwolę poczuciu obowiązku zwyciężyć serce to... cóż mnie czeka... nie jeden upadek, ale długi ich szereg.

Bo czyż nie jest zbrodnią kochać jednego a drugiemu...

Czyż wynikiem takiego narzuconego stosunku nie byłaby pogarda dla samej siebie... później zubożenie... upodlenie całego duchowego ja?

I jakże potem w takich warunkach dzieci chować?...

Jaką moralność im zaszczepić?

Jak uczyć rozróżniania dobrego od złego?

Kiedy ja, ich matka, zatracę pojęcie, gdzie się złe kończy a dobre zaczyna.

A wyrwać się z tej niewoli... to oprzeć się całej fali zastarzałych form... to zerwać z całym dotychczasowym życiem.

Stracić szacunek świata — by utrzymać swój własny...

Wczoraj poszłam z mamą do kościoła... O jak niegdyś serdecznie modliłam się w tym wiejskim kościółku... a dzisiaj... moja dusza i tu chce badać... I ten sam błysk niewiary dojrzałam w czarnych oczach Bertiego... Powtórzenie tych samych pytań... wątpliwości, które mi kołtowały w mózgu. Szczęściem... musi być wiara... taka ślepa bez zastrzeżeń... Mama tak wierzy... W jej spokojnej, siwemi włosami okolonej twarzy czytałam to skupienie całej duszy w modlitwie... jej zapatrzone w ołtarz oczy... zdawały się w ten inny, lepszy świat patrzeć... Ona, naprawdę, duszą rozmawiała z Bogiem... A ja... moje oczy szukały twarzy Bertiego...

Po mszy świętej przywitaliśmy się z Rodekami i razem szli ku domowi. — W jednej z wychodzących pań poznałam moją dawną serdeczną przyjaciółkę, chciałam podejść do niej, ale żywo ręka mamy oparła się na mojem ramieniu...

— Moje dziecko... Mania Rucka... niestety zbyt nisko upadła, byś mogła szukać z nią zblżenia...

— Cóż takiego?...

Pułkownikowa żywo opowiada...

— Och Mania! to taka ciemna historia... rodzice nie chcieli pozwolić na jej małżeństwu

z pisarzem gminnym... i... siedziała z nim na wiarę... teraz jest znowu w domu.

A mama dorzuca z westchnieniem :

— Taki upadek... taka hańba...

Gorąca fala krwi uderzyła mi do twarzy... w milczeniu oparłam się na ramieniu Bertiego, te ciemne, łagodne oczy taki miały bezmiar współczucia.

— Berti... słyszałeś?... a przecież Mania wolną była... a ja... Co powie mama Twoja... moja... o kobiecie, która rzuca męża i dzieci dla miłości...

— Kajdany zrzucić jest zawsze trudniej, niżeli je nałożyć.

Ach, żeby już Henryk przyjechał.

* * *

Masz Janko list z domu?...

Ręka Janki drży, wyciągając się po dużą, białą kopertę, na której sztywne pismo Leona nakreśliło adres... Nie ma odwagi czytać, włożyła go do kieszeni i dalej pije śniadanie.

— Janko i ty nie jesteś ciekawa, co Leon pisze?... — Jasne oczy pani Anny z takim zdumieniem wpatrują się w twarz córki, że Janka mimowoli się śmieje.

— Ale owszem... właśnie z pietyzmu dla tego męzowskiego listu wstrzymuję się od czytania... Zabiorę go z sobą na spacer... Nic tam ciekawego nie będzie, mamó... Leon ma zawsze taki korespondencję handlową przypominający styl i z pewnością więcej tam pustego papieru niżeli... treści...

W chwilę potem po łąkach od rosy perlistych idzie Janka... kraj jej jasnej sukni znaczy ślad po trawie... Wyciągnęła list Leona i czyta...

Kochana Janko

Ten tytuł — po tem wszystkiem co mu powiedziała, mimowoli uśmiech pogardliwy wywołuje na jej usta.

„Z końcem tego tygodnia wyjeżdżam z dziećmi do Iwonicza i po raz ostatni zapytuję, czy sprawę naszą mam oddać adwokatowi — i stosownie do tego przed wyjazdem wyrażonego życzenia zażądać separacji? Mam nadzieję, że ten tydzień w domu szan. Rodziców zmienił twoje postanowienie... w takim razie donoszę Ci, że powrót do dzieci zależy tylko od Twojej woli — ja, osobiście, jestem przygotowany, Twoją duchową walkę uważać za niebyłą...

Zwracam Ci również uwagę, że separacja nie dopuszcza ponownego kościelnego małżeństwa.

A pan von Roden, jako wojskowy, ślubu cywilnego zawrzeć nie może. — Chcąc cię legalności nadać waszemu stosunkowi, musiałby pan von Roden złożyć stopień wojskowy, a o ile wiem, nie byłoby to dla niego ani pod względem materialnym, ani familijnym pożądane.

„Co do twego posagu, to naturalnie pewna część odpada dla dzieci, a to, co zostanie, wiesz sama, że ci nawet codziennego chleba nie zapewni. Ja o Twoje materialne dobro jestem zmuszony dbać tylko dotąd — dopokąd nie rzucisz płamy nielegalnego stosunku na moje nazwisko lub nie przyjmiesz innego.

„Zwracam Ci również uwagę, że pan von Roden nie będzie mógł przy najlepszych nawet chęciach dać Ci wygód, zbytku — ani nawet zapewnić szacunku... małżeństwa cywilne są u nas jeszcze nowością i uważa się je powszechnie za odmianę małżeństw dzikich... o czem przekonałabyś się wkrótce sama. Jak na tę całą sprawę zapatrywaliby się twoi szanowni rodzice, wiem naprzód... — z tej strony ani moralnej ani materialnej pomocy spodziewaćbyś się nie mogła. Tem bardziej, że pan von Roden jest cudzoziemcem — co dla Twego ojca byłoby podwójnie bolesne.

Z oddaniem sprawy adwokatowi czekam do Twojej odpowiedzi. Mam nadzieję, że zrozumiesz moje rozsądne i życzliwe rady i potrafisz ocenić w całej rozciągłości, jakie Ci daje możliwość powrotu do dzieci.

„Mnie, przyznam Ci się otwarcie — separacja byłaby więcej niż przykrą ze względu na moje stanowisko społeczne i dlatego życzeniem mojem jest nie dopuścić do niej... Mam nadzieję, że sen się prześnił i że będziesz mi wdzięczną za możliwość powrotu...

Leon.

Te kilka ostatnich linji...

I Janka widzi satyrycznie uśmiechniętą twarz Leona, gdy pisał to zakończenie — Leona ze względu na stanowisko przebaczącego wspomniałomyślnie nawet błąd, gdyby był...

— Dzień dobry, wolno mi iść z tobą Janko?

— Wolno... — Janka z jakimś przymuszonym uśmiechem wyciąga rękę do Bertiego — i podaje mu list — możesz przeczytać...

I za chwilę żałuje, że poszła za głosem pierwszego popędu... gdy widzi tę bladłość, która w miarę czytania pokrywa twarz Rodena...

Skończył... w milczeniu list jej oddał — jego

ciemne oczy zapatrzyły się w dal pogodnego nieba a potem zwróciły ku Jance pytająco.

— Dlaczego dałaś mi ten list?... Czy i ja również mam oceniać... korzyści twego... powrotu ?...

— Berti... jak mogłeś mi nie tak nie zrozumieć ? !...

— Twój mąż ma słuszość Janko... nie będę w możności ani dać ci wygód ani zbytku ani szacunku ludzkiego... Więcej jeszcze, moja miłość może ci niejedno upokorzenie, niejeden ból przynieść... — Ostro, chłodno dźwięczy głos Bertiego... — Wpływ wychowania, urodzenia, stosunków na bardzo wielu punktach może ci się dać odczuć potem... Cudzoziemcem jestem, jak słusznie twój mąż pisze... to co ty nauczyłaś się kochać od kolebki obce mi jest i nieznanne — albo znane w zupełnie innym oświeceniu... Miłość moja położyłaby przepaść między tobą a rodzinnym domem — między tobą a twymi dziećmi... przepaść tak głęboką, że nawet miłość matki nie zdołałaby jej przebyć... co do tego, że musiałbym wystąpić z wojska... to wiesz aż nadto dobrze, jak tego pragnę... Dlatego jednak, że po mojej stronie są same korzyści... po twojej same straty — muszę cię prosić... zastanów się dobrze... Rady twego

męża — jakkolwiek powód je podyktował... są... rozsądne... Przyszłość twoja przy mnie to ciężka walka... nie tylko przeciw zastarzałym formom, ale o chleb codzienny...

Głos Bertiego urywa się nagle, — ile go kosztuje to panowanie nad sobą, tego dowodzą tylko krwią nabiegłe żyły na skroniach.

Janka za całą odpowiedź zarzuca mu ręce na szyję i ta pierwsza pieszczota... którą obdarza ukochanego, zawiera w sobie całą jej odpowiedź... Na krótką chwilę usta ich łączą się w pocałunku — i Berti jest tym pierwszym, który przemocą zmusza się do rzeczywistości...

— Janko... gdyby nas kto zobaczył... — I równocześnie ten wstyd fałszywej pozycji, brak praw do niej, przymuszanie ukrywania swoich najlepszych uczuć przed światem, boli go tak, że zatruwa rozkosz pierwszego pocałunku.

W milczeniu idą po słońcem zalanej drodze, wśród rozkołysanych fal młodego zboża. Aż Janka wreszcie rzuca nieśmiało:

— Wracajmy...

— Janko — zanim odpiszesz Leonowi — zaczekaj do przyjazdu Henryka... dobrze?... — I nagle przyciąga jej ręce do ust w namiętym pocałunku. — Janko! Ja cię tak gorąco kocham,

nad życie, nad szczęście własne i boję się, żebyś nie żałowała kiedyś... rozumiesz?...

— Berti...

— Bo dzień Janko, w którym dojrzałbym cię skargi w twoich oczach... byłby... ostatnim moim...

— Miłość... dwojga dusz ludzkich wynagrodzi braki... zasłoni niedobory... nie bój się tej przyszłości i wierz w nią wraz ze mną...

— A ty czy w nią wierzysz? Czy nigdy nie czujesz wątpliwości... czy nigdy?...

— Zostaw to Berti... ta nieszczęsna pasja rozbierania każdej myśli na atomy, zadawania wiecznie nowych pytań i powątpiewań, to przecież cecha naszego stulecia... Ale szczęście zdobywa się tylko odwagą... Kto po nie śmiało i bez wahania rękę wyciągnie, ten je otrzyma... i Janka kończy więcej dla siebie, niżeli dla towarzysza — chociażby na przeciąg godzin kilku...

W milczeniu dochodzą do dworku Leszetyckich i Janka zaprasza swego towarzysza dalej.

Z gęstwiny dzikiego wina, oplatającego altanę dochodzi ich głos matki i czyjś jeszcze. Ten drugi głos ogromnie łagodny i głęboki, mimo woli wywołuje uwagę Bertiego.

— Jeżeli po głosie można sądzić człowieka, ten w altanie musi należeć do rzędu tych natur, co uczucie łączą z głębią myśli.

Teraz ten głos łagodny dobiega ich tak wyraźnie, że rozróżniają słowa.

— Przecież mi pani dobrodziejka tego nie odmówi... Chrześcijańska miłość powinna obejmować wszystkich, nawet zbłąkanych...

Teraz głos milknie, bo w progu altany staje Janka i Roden — zaciekawione ich spojrzenia spotykają wysoką, szczupłą postać młodego księdza, twarz bardzo nieregularną o dziwnie pięknych ustach i oczach — tych wilgotnych, głębokich, skupiających całe resztki życia, oczach suchotnika.

Pani Anna żywo podnosi głowę z nad roboty.

— Moja córka, tej ksiądz wikary jeszcze nie zna, porucznik von Roden — ksiądz Jendziół.

Wąska, wilgotna ręka wyciąga się do Janki i Rodena wielkie oczy przez krótką chwilę badawczo spoglądają w te dwie nowe twarze.

— Musi mi pani dopomóc, pani Janino, od kwadransa przekonywam mamę pani i jak dotąd napróżno.

— Ale, bo ksiądz wikary niemożliwości żąda — wzrusza ramionami pani Anna i ten stallowy chłodny błysk w jej oczach jest czemś nowem dla Janki, że pytające jej spojrzenie z matki przenosi się na księdza.

— Sprawa moja dotyczy byłej przyjaciółki pani — Mani Ruckiej. Błąd jej jakkolwiek ciężki odpokutowała aż nadto... Najpierw rodzice słusznie zresztą nie chcieli na małżeństwo pozwolić... Karol Chrunicki nietylko urodzeniem, stanowiskiem — ale wychowaniem, wykształceniem stał dużo niżej od niej... Co do charakteru... najlepszy dowód... że gdy dziewczyna porzuciła dla niego dom rodzinny, on teraz wzdyga się ją zaślubić... Mania po roku z dzieciną wróciła do rodziców... całe miasteczko odsunęło się od niej... ojciec przed paru miesiącami umarł i biedne kobiety z dzieckiem zostały o bardzo... bardzo skromnej wdowiej pensyjce tylko. Przyszedłem prosić o robotę dla niej, a mama pani twierdzi...

— Mój księżu wikary... od zdania mego nie odstąpię, jest dosyć uczciwych kobiet, które potrzebują pracy... i byłoby zupełnie błędne odbierać ją im, ażeby wspomagać...

Pani Leszetycka urywa, by dorzucić za chwilę: „Gdyby panna Rucka była się prowadziła

uczciwie, mogła była być dawno dobrze sytuowaną, matką rodziny... partyj nawet bardzo dobrych miała dosyć...

Lekki uśmiech rozjaśnia twarz księdza.

— Dobrodziejko, jeżeli nie dla Mani to trochę litości trzebaby mieć dla starej Ruckiej... Cóż matka winna za błąd córki?

— Ksiądz wikary rozminął się z powołaniem, trzeba było pójść na adwokata. Ale matka też winna... bo poco przyjęła Manię z powrotem.

— Bo serce matki to jedynie wierne na świecie... gotowe zawsze przebaczyć i zapomnieć. I gdyby dobrodziejka była na miejscu Ruckiej wątpię, czy zdobyłabyś się na siłę, by dziecko i wnuczę odepchnąć... gdy w mroźną noc, zziębnięte stały w progu...

Pani Leszetycka milczy, ale jasna główka Janki podnosi się żywym, energicznym ruchem.

— Ksiądz wikary ma zupełną słuszność, o ile to w mojej mocy będę się starała dopomóc Mani... I ty mamusiu też, nieprawdaż?

— Na to mam jeszcze czas... Tak ksiądz dobrodziej musi u nas na drugim śniadaniu zostać... Tylko bez tłumaczeń... tych nie przyjmuję. A prośbę mam do pańskiego ojca, poruczniku, Henryk pisał, że dzisiaj wieczór o siódmej

przyjedzie... możeby pan pułkownik był tak dobry i pożyczył koni...

— Ależ naturalnie, sam nawet przyjadę po panie... papa będzie bardzo zadowolony, że się czemś przysłużyć może.

Mama Leszetycka opuszcza altanę i ksiądz Jendzioł żywo zwraca się do Janki.

— Dziękuję... gdyby i pan, panie von Roden zechciał przemówić w domu parę słów za moją protegowaną, mnie doprawdy ogromnie tej całej rodziny żal. — Gdyby pani... gdyby pani po dawnemu zajrzała do nich... byłby to doprawdy chrześcijańskiego miłosierdzia uczynek.

— Ale naturalnie... ja wogóle nie widzę powodu, dlaczego odsunięto się tak od niej... Była wolna, poszła za głosem serca... i ma siłę znosić wszelkie konsekwencje swego kroku — nie widzę nic godnego pogardy...

Lekki rumieniec barwi zapadłe policzki księdza.

Było w jej czynie dużo winy przeciw Bogu i ludziom... Nie zawsze można tak ślepo głosu serca słuchać... bo czasem... czasem jest to głos zmysłów jedynie...

— Zmysły z sercem chodzą zwykle jednymi drogami — uśmiecha się Berti.

— O nie... są to dwa zupełnie odrębne głosy, które ludzie zamieniają dość często... ku swojej szkodzie... Pułkownik nam już dawno obiecał przyprowadzić syna, ale jak dotąd czekaliśmy na próżno.

— Nie należąc do gorliwych owieczek katolickiego kościoła — śmieje się Berti — nie mogłem się zdobyć dotąd na odwagę towarzyszenia papie.

— Podziela pan pewnie zdanie, że ksiądz tylko przy śmierci potrzebny?

— I to nie... na polu bitwy umiera się bez księdza i to może właśnie dodaje uroku śmierci... Ale ksiądz wikary nie obrazi się za tę wolnomyślność...

— Jestem zawsze zdania, poruczniku, że otwartość więcej warta niżeli kłamana uprzejmość. Zresztą zdanie pańskie dzieli teraz ogromnie wielu ludzi... A pani?...

— Niestety, same zbłąkane owieczki ma ksiądz przed sobą...

— To gorzej... bo kobiecie wiara w życiu jak ster okrętowi potrzebna... Łódź bez steru to igraszka fal...

— Rozum jest również sterem... — przerywa Berti.

— Ludzki rozum?... — po twarzy księdza przelatuje cień uśmiechu.— Renanem całe życie kierował rozum, ale do ostatniej przeprawy zażądał księdza... Wiara jest duszy ludzkiej potrzebna — pustki, którą wytwarza jej brak, nie da się niczem innym zastąpić.

Drwiący półuśmiech, który podnosi kąciki ust Bertiego, nie uchodzi uwagi księdza.

— Duch czasu niesie z sobą te wątpliwości. Człowiek nie chce wierzyć na ślepo... jak niegdyś Tomasz potrzebuje palce włożyć w ranę, by się przekonać o jej istnieniu... Zadaje sobie szereg pytań i nie może znaleźć dla nich odpowiedzi... Trzeźwym zapatrywaniom mistyczne tajnie wiary stawiają opór... głębia ich rozkrywa się przed spragnionym duchem... zamyka przed sekcyjnym nożem chłodnych mózgów ludzkich.

— Przecież ksiądz jesteś dzieckiem wieku, musisz więc mieć również skłonność do roztrząsania wszystkich kwestyj... do tej wiwisekcji ducha ?

— Naturalnie... tylko ja jestem tym spragnionym wędrowcem, który znalazłszy źródło pije ożywczą wodę... a wy mimo pragnienia, chcecie najpierw przeprowadzić chemiczny rozbiór... życie czasem na ten rozbiór nie wystar-

cza i giniecie obok źródła.. z pragnienia. Zresztą, jak powiedziałem, przed gorącą tęsknotą spragnionego wiary ducha... rozstępują się mistyczne tajnie... zamykają zazdrośnie przed okiem badacza... Każda dusza ma czas swoich wątpliwości... wahań.. czas roztrząsań i niedowiarstwa. — Tonsura od tego również nie chroni, poruczniku — może nawet więcej duchowych burz sprowadza... Ale życie uczy wiary... spojrzenia, które mamy sposobność rzucać w dusze drugich... Te tysiąc dramatów, które wylaniają się ku nam z szeptu spowiedzi... te historie ludzkich błędów, upadków, łez, bólów, które wieczną tajemnicą okrywa cisza konfesjonału, ta możliwość patrzenia w losy drugich ludzi... oceniania straszliwej niestałości wszystkiego co ziemskie, to właśnie czynnik, który duszy księdza daje możliwość łatwiejszego odnalezienia wiary... Naturalnie nie zawsze, bo jak mówi poeta „w strunach arfy jest cały świat ducha, w miarę tego, kto śpiewa... kto słucha“, tak samo są uszy, dla których nauka życia jest głosem wołającego na puszczy...

Pani Leszetycka i Tekla z serwetą i nakryciem przerywają rozmowę. Pani Anna na widok zarumienionej zapalem twarzy wikarego uśmiecha się dobrym, łagodnym uśmiechem.

— Przecież księdzu wikaremu pobyt w naszym miasteczku służy — doprawdy, że ksiądz lepiej, dużo lepiej wygląda.

— Zorza wieczorna... rozbityska na znak, że dzień się kończy,.. dobrodziejko — uśmiecha się ksiądz Jendzioł, a jego piękne, ciemne oczy z taką tęsknotą patrzą w dal pogodnego nieba, że Berti zazdrości mu w tej chwili... Ptaki na wiosnę z taką tęsknotą wracają do gniazd... i dusza tego księdza zdaje się czekać godziny odlotu jakby chwili powrotu w rodzinne progi.

Pani Anna białą cieniuchną serwetą nakrywa stolik... biały chleb, miód, masło świeże, wędliny nęcą apetyt... wąskie kieliszki wypełnia złotawe wino.

Janka zerwała bukiet gwoźdзикów i przy każdym nakryciu kładzie kilka wspaniałych, od rosy wilgotnych kwiatów, księdzu dostały się białe — Bertiemu ponsowe. I spojrzeniu, które towarzyszyło darowi i odpowiedź, którą rzuciły płomienne oczy porucznika, nie uszły uwagi wikarego.

— Szkoda kwiatów... zniszczyła pani tyle istnień dla zadowolenia zmysłów: wzroku i powonienia...

— Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni — cytuje Janka — wybawiłam je od tego smutnego losu; zwiędną podziwiane... Zabawią na krótki przeciąg czasu nasz zmysł piękna, to znaczy spełnią... przeznaczenie...

— Uważa pani za lepszy los — służenie za chwilową zabawkę ludziom, niżeli zwiędnięcie... w ciszy?

Jest coś w głosie księdza, co zwraca uwagę Janki, jej błękitne oczy patrzą chwilę badawczo w spokojne, rozsądne oczy księdza i wreszcie zamiast odpowiedzi rzuca pytanie:

— A ksiądz sądzi?

— Że szkoda kwiatów... dla zadowolenia naszych zmysłów.

Janka trzymaną w ręce wiązanek kwiatów rzuca ruchem rozgniewanego dziecka na ścieżkę.

— Niech sobie więdną w... spokoju!...

Chwila ogólnej ciszy panuje po tym czynie; pani Leszetycka zdziwiona patrzy na zdenerwowanie Janki... ciemne policzki Bertiego płoną, jeden ksiądz zachował spokój... Zdenerwowanie Janki, rumieńce Bertiego potwierdziły domysł i oczy młodego księdza patrzą na dwie zbłąkane owieczki... podwójnie zbłąkane, z głębokim smutkiem.

Janka czuje, że się zdradza i przywołuje na pomoc całą swoją światowość... Staje się nagle tym smutnym błyskotliwym motylem... tą wytworną olśniewającą damą, której wdzięk i dowcip brylował tyle razy w wytwornych kołach stolicy.

Tak lekko przeskakuje z tematu na temat, tak zręcznie ślizga się po głębi zagadnień życiowych.

Wytworna natura Bertiego dopomaga jej chętnie w tem upijaniu się samym sobą... Księdzu przypominają parę jednodniówek, których skrzydła mienia się tak cudnie, jakby wynagrodzeniem za krótkość istnienia.

Pani Anna nie może nadążyć temu wyścigowi dowcipu i milknie... Janka roześmiana, rozbawiona, z błyszczącymi nienaturalnie oczyma, z wyzywająco namiętą tonacją głosu... I myślą widzi tę samą Jankę w białym fartuszkach, uwiązającą się koło gospodarstwa... wobec gości zażenowaną, małomówną... taką nieśmiałą i cichą i pani Anna dziwi się, że pięć lat mogą tak odmienić.

Wreszcie ksiądz się żegna i Berti ofiarowuje mu swoje towarzystwo aż do probostwa.

I gdy kroki mężczyzny oddalają się, Janka patrzy za nimi szeroko rozwartymi oczyma, po-

równywuając szczupłą, czarną postać księdza z barwną, giętką, smukłą a męską postacią Bertiego.

Wydają się jej, jak uosobienie dwóch odmiennych światów.

Pani Anna sprząta ze stołu i teraz ciepłym ruchem przytula córkę do siebie.

— Ktoby to myślał, że z tej poczwarki z przed lat pięciu taki się świetny motyl wyłoni...

Naprężone nerwy Janki znajdują ulgę we łzach. W nagłym wybuchu płaczu tuli swoją główkę do piersi matki.

— Ta poczwarka była szczęśliwa, szczęśliwa!...

— Dziecko moje drogie! — z serdecznym niepokojem tuli pani Anna rozplakaną — niepokój coraz głębszy wkrada się do jej macierzyńskiego serca — chciałaby pytać... ale Janka wrywa się nagle z jej ramion, uśmiechając się przez łzy...

— To... tylko nerwy, mamo...

* * *

Po cienistej drodze do probostwa zdoła ksiądz Jendzioł i Berti. Milczą obydwaj... Berti po tej nerwowej wesołości czuje jakieś znużenie, roz-

prężenie, machinalnie bawi się purpurowemi goździkami, darem Janki. Ksiądz z boku obserwuje towarzysza i wreszcie przerywa milczenie.

— Pani Rolska ma dzieci, nieprawdaż?

— Dwóch chłopców.

— Pan tam zdaje się często bywa?

— Państwo Rolscy prowadzą dom otwarty — odkąd mój pułk stoi garnizorem w St. miałem sposobność przypomnieć naszą starą znajomość pani Janinie i od tego czasu... — Berti urywa, by dokończyć po chwili — byłem w domu państwa Rolskich chętnie widzianym gościem.

— Czy usposobienie pani Janiny ulega często takim... błyskawicznym metaforfózom, jak dzisiaj?

— Takim błyskawicznym rzadko... — uśmiech przebiega po ustach Bertiego na samo wspomnienie tej świetności barw, jaką mieniło się dzisiejsze usposobienie Janki. — Cała ta błyskotliwość, którą ksiądz zdaje się zauważył, nie ma nic wspólnego z duszą pani Janki — ogromnie kobiecą i ogromnie silną...

— Pan tak wejrzał w tę duszę?

Śmiałe spojrzenie czarnych oczu Bertiego wytrzymuje badawcze księdza, gdy odrzuca wolno ale dobitnie.

— Dlaczego ksiądz usiłuje teraz wejrzeć w moją?

— Zajmuje mnie?

— Jak ciekawy problemat?

— Właśnie... przyjaźń pięknej kobiety i wolnomyślnego mężczyzny, jest to zawsze zajmujący przedmiot dla obserwatora.

— Ksiądz nie wierzy w możliwość takiego stosunku bez ubocznych pragnień?

— Zanadto jesteśmy ludźmi, poruczniku... przyjaźń taka jak poucza faktów tysiące bywa niebezpieczna...

— A gdyby nawet... czyż miłość dusz nie jest najpiękniejszą formą miłości?...

— To zwykły wstęp do dalszego ciągu — sam to musisz przyznać poruczniku...

— A gdyby nawet... któż mi zabroni kochać?...

— Są prawa ludzkie i Boskie, których przekraczać nie wolno... woli człowieka...

— Praw ludzkiego serca nikt ograniczać nie może.

— Czy o prawach może mówić... bezprawie?

— Ksiądz zręcznie paruje...

— Pan równie zręcznie zastonić się usiłuje tarczą ironji... pomimo, że to średniowieczny

zabytek... teraz, o ile wiem, szermierze obywateli się bez niej.

Berti się śmieje wyciągając do księdza rękę na pożegnanie.

— Nie wstąpi pan? Przecież i tak ma pan czas wolny. — Ksiądz proboszcz kocha się w wojskowych — twierdzi, że to jedyne dusze pierwotne.

— Wątpliwy komplement... nie chciałbym proboszczowi rozwiązać iluzji.

Mimo to Berti przechodzi furte, niski biały domek w gęstwinie bżów, z szeroką drewnianą werandą zapraszająco wylania się z zieleni. -- Na progu wspaniały, angielski dog rozciągnął się do słońca. Na widok obcego zrywa się warcząc i swoim kolosalnym, srebrno-popielatym korpusem zasłania drzwi.

— Chodźno tu Gid... nieprawdaż poruczniku wspaniały okaz — gospodyni tylko narzeka, że zjada więcej niżeli ja i proboszcz razem. Proszę dalej...

Wąska sionka, białe drzwi na prawo i lewo, ksiądz Jendzioł otwiera te na prawo, zaprasza gościa. Mały, czysty pokój — łóżko, klęcznik, stół, dwa stołki, szafa, a nad klęcznikiem Chrystus na krzyżu,

Ksiądz Jendzioł wychodzi i wraca za chwilę.

— Proboszcz gdzieś wyszedł, musi się pan mojem towarzystwem zadowolić.

— Nie pragnąłem innego.

— Niechże pan usiądzie... proszę, może papierosa... Czem chata bogata... Ja nie palę, takim cherlakom jak ja nie wolno.

— A dym księdzu nie szkodzi?

Łagodny uśmiech rozjaśnia nieregularne rysy księdza.

— Mnie już nic nie szkodzi... teraz, że pogoda, to się jakoś trzymam, ale w czasie deszczowej pory, na wiosnę, było bardzo kiepsko. Myślę, że jak te zielone liście zaczną opadać, to i na mnie czas odlotu przyjdzie.

— Ależ...

— Zostaw pan... żołnierze nie boją się śmierci, a ksiądz to też rodzaj żołnierza.

— Och nie! — żywo protestuje Berti — nic wam nie krępuje ducha, a nas... w nas wszystko lepsze zabije dyscyplina.

— Całe życie to niewola, poruczniku... oswobodzenie w śmierci jedynie... Gdy duch zrzuci panowanie ciała, wtedy dopiero wolny jest naprawdę. Ja sądzę, że w każdym zawodzie można sobie stworzyć pole działania... i stać się dla ogółu pożyteczną jednostką...

— Nie w każdym. Ja przynajmniej jestem przekonany, że dopóki mundur noszę, należę do tych pasorzytów żywiących się cudzym kosztem.

Smutne przekonanie...

— Prawdziwe... Chciałbym... o pragnę gorąco zrzucić ten mundur.

— Będzie to dla pańskiego ojca ciosem bardzo bolesnym... starzy ludzie skupiają resztki sił żywotnych w miłości swoich zapatrywań...

— To samolubstwo... upór... i liczyć się z nim nie można.

— Samolubni jesteśmy wszyscy... zarówno ojciec pański, pragnący pana podporządkować swojej woli, jak i pan usiłujący wyłamać się z pod tej narzuconej władzy... Tylko, że młodość ma te giętkości stosowania się do sytuacji... a starość jej nie ma... i o tem pamiętać trzeba.

Berti milczy chwilę, oczy jego błędzą spojrzaniem po białych prostych ścianach — i spoczywają długo na szczupłej twarzy księdza. Jest coś, co go pociąga... jakiś prąd duchowej sympatii do tego księdza...

W jednym są wieku prawdopodobnie... a dusza Bertiego znajduje się właśnie w tym burzliwym okresie fermentu... ksiądz Jendzioł okres

ten dawno zostawił poza sobą i może właśnie to jest czynnikiem, który ich przyciąga.

Berti się podnosi.

— No, mama się już niecierpliwi pewno. Tak szybko zbiegło to przedpołudnie... Mamie protegowaną księdza zaproteguję.

— Mam nadzieję, że zajrzy pan czasem do mnie — nieprawdaż?...

— Chętnie.

Uścisk dłoni, który wymieniają na pożegnania ma w sobie ciepło przyjaźni.

* * *

Bryczka pułkownika toczy się żwawo po nierównościach gościńca. — Pani Leszetycka z radcą zajęli tylne siedzenie, na małej ławeczce z przodu siedzi Janka. — Berti powozi. Sprawia mu to ogromną przyjemność. Ta cisza, to zmęczenie — jakim oddycha natura... Powietrze ciężkie, parne, tchnie jakimś namiętym rozleniwieniem. Pieszczotą słoneczną upojona ziemia... ma w sobie bezruch rozkoszy, słońce za górami kona i ostatnie gorące promienie zdają się do niej lgnąć pocałunkiem pożegnania.

Bułanki kierowane pewną dłonią idą równo... ale i na nich działają wiosenne powiewy od czasu do czasu podnoszą łby, jakby nasłuchując... ocierając się o siebie bokami... rżą.

I na Rodena działa ten wieczór... Jakaś rozkosz znużenia opanowuje cały organizm — nie ma ochoty słuchać, co papa Leszetycki opowiada — ani sam przerywać słowem tego nastroju. Wystarcza mu, że jak nieco odwróci głowę, widzi pochyloną główkę Janki — niezmiernie delikatny w kolorycie kark i złote, swawolnie po nim igrające loki. I zdaje mu się, że ustami przylgnąć do tej szyi w długim, długim pocałunku to jedyne rozsądne pragnienie.

Ale oto i dworzec, państwo Leszetyccy odrazu idą na peron — Janka zostaje chwilę przy bryczce. I Berti rzuca nagle:

— Jeszcze pół godziny blisko do nadejścia pociągu — przewiózłbym cię trochę...

— Nie... lepiej zostaw komu konie i chodź na peron...

— Nie chcę, nie sprawia mi przyjemności udawanie.

— Jak chcesz... Janka odchodzi. Jej jasna wysmukła postać odcina się od ciemnego tła drzwi przedziwnie powabną sylwetą... I Berti

jednym skokiem znajduje się na ziemi i rzuca lejce jednemu z chłopów stacyjnych.

— Potrzyjmy trochę...

Pani Anna oparta na ramieniu męża chodzi po peronie. Janka oparła się o stary kasztan, oczy jej gonią równą linię szyn w dal.

I Berti przyłącza się do starej pary, bawi radcę anegdotami pułkowemi — przynosi pani Annie wodę sodową z bufetu... Janka tylko zdaje się nie istnieć dla niego... unika nawet spojrzenia w jej stronę...

Bo całą siłą woli pragnie stłumić to gwałtowne pragnienie przytulenia jej do siebie, wpięcia się ustami w jej usta...

Ulęgę sprawia mu dzwonek sygnałowy.

No, już parę minut tylko tej męki...

Nareszcie nadjeżdża osobówka.

Z trzeciej klasy z walizą w ręku wysiada młody człowiek i za chwilę ramiona pani Anny oplatają go długim uściskiem... Berti, stojący nieco z boku, obserwuje postać przybyłego. Mały, szczupły o niespokojnym wyrazie szarych oczu, Henryk niczem nie przypomina Janki. Pod słabym, rudawym wąsem wąskie, satyryczne usta co chwila zmieniając wyraz — z jego nerwowych, niepewnych ruchów... z żywej gestykulacji rąk bije jakieś rozprężenie. W spo-

sobie, z jakim wita się z rodzicami, leży jakieś pogardliwe współczucie dla sentymentalizmu starych ludzi.

Berti przypomina sobie te czasy, gdy się dawniej spotykali w P... Henryk o parę lat starszy od niego — był wtedy ogromnie inteligentnym wszelkie dobre nadzieje rokującym młodzieńcem, to też ta powierzchownie zaniebdana postać wydaje się Rodenowi czemś zupełnie obcem. I gdy na chwilę szczipła, o ogryzionych paznogciach, ręka Henryka znajduje się w jego dłoni, a szare oczy rzucają mu ironiczny błysk.

— Och, jaki z ciebie typowy porucznik...

Ręka Rodena z taką siłą gniecie na powitanie podaną dłoń, jakby ją zmiażdżyć chciała w uścisku.

— Jeżeli mamy sądzić z powierzchowności — Berti urywa, bo spotyka proszące spojrzenie Janki.

— My ludzie nauki — śmieje się Henryk — nie mamy czasu zwracać uwagi na powierzchłość... i... pozostawiamy to wam... synom Marsa. Ale ty Janko, co się z ciebie za pociągająca niewiasta stała...

— No, moje dzieci... nie rozprawiajcie...

mrok już zapada, a do domu mamy przeszło godzinę.

Radca żywo dąży naprzód... Pani Anna oparła się na ramieniu syna... Janka z Bertiem idą obok siebie.

Przedstawiąłem sobie zupełnie inaczej Henryka.

— I ja...

— Jakże my się teraz pomieścimy... wzdycha pani Anna.

— Musi się ktoś z państwa zdecydować na kozioł — uśmiecha się Berti, ujmując lejce.

— No, rodzice dostali dopiero Henryka — byłoby okrucieństwem rozdzielać ich — przyjmie mnie pan za towarzyszkę, panie Roden?

— Chętnie... ale musi się pani pozwolić wznieść na tę wysokość.

Berti przechyla się szybkim jak myśl ruchem, obejmuje kibić Janki i stawia ją obok siebie.

— Brawo, — Henryk umieszcza się na przednim siedzeniu bryczki, państwo Leszetyccy na tylnym.

Zniecierpliwione czekaniem bułanki niespokojnie rzucają łbami.

Mrok...

Rosa pada... powietrze ciężkie... gorąca wilgoć wznosi się nad mgłami. Berti kocem otula nogi pani Anny, a gdy drugim przykrywa troskliwie kolana Janki, chwyta go znowu to szalone pragnienie pieśczoły. Nareszcie ruszają... wypoczęte konie idą dobrze... Mrok coraz gęstszy... z głębi bryczki dochodzi poprzez turkot kół gwar głosów tak niewyraźnie, że słów rozróżnić nie można.

Janka patrzy na Bertięgo, zaledwie rozróżnia jego profilem ku niej zwróconą twarz i oczy uporczywie zwrócone na drogę.

— Co tobie jest dziś Berti?

— Nic...

— Ach, przecież inny jesteś dzisiaj, niżeli zawsze.

— Zostaw mnie... proszę.

Janka urażona usuwa się od towarzysza i dalsza droga mija im w tak uporczywym milczeniu, że zwraca to nawet uwagę radcy.

— Hej, młodzi państwo, zasnęliście, że tak u was milcząco?

— Słuchamy waszej rozmowy — odrzuca Janka.

Zdaleka migocą światła miasteczka — konie po znanej drodze idą kłusem.

I nagle Janka na swoich dłoniach czuje rozpaloną rękę Rodena.

Smukłe, nerwowe palce tej ręki uciskają jej dłonie do bólu prawie. — Jakaś rozpacz jest w tej pieszczocie... A Janka nie ma odwagi odmówić mu jej... serce jej tylko ściska się jakimś dziwnym niepokojem..

I ulgą jest dla niej niemal, że wjeżdżają w ulice miasteczka...

Berti cofa rękę, z pasją opada bat na grzbie ty koni... nieprzyzwyczajone do takiego obchodzenia bułanki przechodzą w taki ostry galop, że ponoszą niemal... bryczka podskakuje po nierównościach bruku.

I państwo Leszetyccy oddychają z głębi duszy, gdy przed ich dworkiem jedno szarpnięcie zatrzymuje bułanki.

— Już doprawdy się bałam, że konie ponoszą — wzdycha pani Anna — ale teraz odeślemy bułanki Marcinem, a pan, poruczniku, musisz zostać na kolacji.

— O nie, bułanki sam muszę odstawić papie, a co do łaskawego zaproszenia... macie sobie państwo tyle do opowiadania, że obcy, w ten pierwszy wieczór, byłby zawadą...

— Ale mój poruczniku — śmieje się radca — przecież obcym nie jesteś dla nas... a takich

tajemnic do roztrząsania nie mamy, żebyś ich słuchać nie mógł.

— Drugim razem panie radco, bo... dziś wogóle jestem... głowa mnie boli szalenie... Pani pozwoli, pani Janino. — Berti lekko zeskakuje i wyciąga ręce do Janki. — Musi się pani raz jeszcze powierzyć mojej sile, chcąc się dostać na ziemię.

— Niekoniecznie — śmieje się Janka — skakać i ja jeszcze potrafię.

— Ja na twojem miejscu wybrałbym wygodniejszą drogę... doradza Henryk.

— Janka, żebyś mi nie skakała — woła matka i dorzuca po chwili — to już nie dla męzatki...

Ostatnia uwaga sprawia, że Janka jednym skokiem znajduje się obok Bertiego.

— No, widzi mama, że mi się nic nie stało.

— Moja ty... doprawdy jakieście wy teraz lekkomyślne... Pan Bóg wie, co taki skok spowodzić mógłby... Ale przynajmniej jutro z podwieczorkiem czekamy... może się przecież i mama da namówić... Dziękujemy za pańską uprzejmość...

Berti w milczeniu całuje rękę pani Anny. Służąca wyszła z lampą, by państwu przez

ogród poświecić i jasne światło pada nagle pełnią na zmienioną twarz Bertiego.

— Ale doprawdy pan strasznie źle wygląda. Wie pan co, mam pyszną jałowcówkę, takie bóle głowy to najczęściej z żołądka, niechże pan mnie posłucha i wstąpi na kieliszeczek.

— Dziękuję... wrócę do domu i pójdę spać... to pomoże... Dobranoc... państwu...

Bułanki ruszają i rodzina państwa Leszetyckich wraca do dworku. Pani Anna potrzęsa swoją siwą głową.

— Żeby tylko Bertiemu co nie było, nie podobał mi się dzisiaj.

— Że też mama zawsze po staremu kłopotuje się o wszystkich, takiemu silnemu chłopu jak Berti, ból głowy nie zaszkodzi. — Henryk rozgląda się po starej jadalni. — Mam wrażenie, że czas stanął... tak tu wszystko po dawnemu, tylko mały Henryś zmienił się w dużego Henrysia i...

Ostatni wyraz Henryk wymawia tak cicho, że go nawet tuż obok stojąca Janka nie słyszy. Ale oto w drzwiach ukazuje się Tekla z ogromnym półmiskiem smażonych kurcząt i sałaty ze śmietaną.

— O bogowie, co za lukulusowa uczta, doprawdy możnaby w takich warunkach sfilistrzeć.

* * *

Berti konie odprowadził do stajni... pani Teresa zajęta w kuchni przyrządzeniem kolacji, wychyla się teraz przez okno.

— Dobrze, żeś już wrócił... papa jeszcze u proboszcza na szachach, ale przyjdzie niedługo i zaraz będzie kolacja. Jeżeliś głodny, to mogę ci dać coś tymczasem.

— Nie... dziękuję... nie będę dziś nic jadł... głowa mnie ogromnie boli...

— Moje biedne dziecko — takim pieszczotliwym ruchem ręka matki przesuwając się po włosach syna. — Idź się położyć... przyniosę ci... czy ja wiem, co by ci dobrze zrobiło, może bzdurą herbatę?...

— Nie, mamó... ale jak dasz ojcu kolację, przyjdź troszkę do mnie, na górę... dobrze?

Walka z samym sobą przeszła u Bertiego doprawdy w fizyczny ból... głowa bolała go chwilami tak silnie, że tracił niemal przytomność.

W mundurze rzucił się na łóżko... ciemność

pokoju kładła mu się na rozdrażnionych nerwach ukojeniem.

Cichutko skrzypnęły drzwi, głowa pułkownikowej zarysowała się w świetle padającym z sieni.

— Spisz Berti?...

— Nie, mamó...

— Jakże ci tam?

— Chodź... siądź trochę przy mnie mamó — Berti kładzie rozpaloną głowę na kolanach matki.

Ta delikatna pieśczoła, z jaką jej ręce przesuwają się po jego włosach... robi mu dobrze.

Pułkownikowej przypominają się żywo te czasy, kiedy mały Berti usypiał wieczorami z głową na jej kolanach... te dalekie... dobre czasy.

— Berti, a może po antipirynę do apteki posłać?

— Nie mamó... nie wiem, dlaczego mnie ta przeklęta głowa tak rozboliła... Dobrze mi tak na twoich kolanach... Zdaje mi się, że od tych dawnych... dawnych czasów niewiele się zmieniło... Chciałbym być dzieckiem mamó... Gdybym ja ci mógł powiedzieć wszystko... byłoby mi prawdopodobnie dużo... lżej... Ale prądy

czasu rozniosły nas tak daleko od siebie, żebyś mnie nie rozumiała... prawda mamo?

— Nie wiem Berti... smutneby to było, żeby matka własnego dziecka zrozumieć nie mogła... Ale ty doprawdy masz głowę gorącą jak ogień, Berti... nie bądź uparty i pozwól sobie dać okład...

I Berti nie protestuje więcej... z pod przy-
mkniętych powiek patrzy jak matka zapala lampę i zasłania troskliwie od strony łóżka gazetą — jak przyrządza okład i z jakim dobrotliwie stroskany wyrazem chyli się nad nim.

— Zdejmże chociaż bluzę Berti... takby ci było niewygodnie...

I Berti posłusznie ściąga bluzę i gdy potem zimno okładu dobroczynnie chłodzi mu czoło, przyciąga rękę matki do ust w długim pocałunku.

— Już mi... dobrze... idź i ty spać mamo...

— Tylko ojcu pójdę dać kolację, bo już pewno przyszedł, a potem przyjdę dać ci świeży okład — i jak niegdyś małemu Bertiemu rzuca odchodząc — a bądź grzeczny i leż spokojnie.

I Berti leży spokojnie...

Słodyczą bezmyślności kładzie się jakieś ogólne zmęczenie, wyczerpanie na jego duszy...

* * *

Janka niecierpliwie czeka czwartej godziny... niepokój o Bertiego męczy ją...

Książka, którą z sobą zabrała do ogrodu, dawno leży u jej nóg na murawie... całą jej uwagę zajmuje droga do miasteczka.

Henryk przysiadł się do niej na darniową ławeczkę w ciemiu starej lipy.

— Będzie okrutnie nudne popołudnie... chciałem pójść do lasu, ale mama tyle się naoburzała na mój brak dobrego wychowania, że musiałem zostać... No, a powiedz mi Janko, co mnie obchodzi jakiś tam emerytowany pułkownik z rodziną, żebym miał przez niego psuć sobie nudami parę godzin życia. Chociaż ty jako żona radcy handlowego prawdopodobnie też chodzisz utartymi drogami... konwenansów?

— Nie zawsze...

— Ale czasem, co?

— Najczęściej idę za popędem mojej własnej woli i mało mnie obchodzi, co świat na to powie...

— I to mówi pani Leonowa? Małżonka, kładącego taką ogromną wagę na wszelkie formy zewnętrzne pana Leona?

— Właśnie, może prawem kontrastu...

Janki spojrzenie znów z niepokojem zwraca się na drogę i z taką naprężoną uwagą spoczywa na rysującej się w dali sylwetce, że Henryk to spostrzega.

— Kogo ty tak wyglądasz właściwie?.. Pani czy pana Rodena?... Bo uważam cię za zbyt rozsądną, żebyś miała pensjonarskie skłonności do gwiazdek i błyszczących guzików Bertiego...

— Co to właściwie?

Henryk nie ma czasu dokończyć, bo Janka żywo podnosi książki i wstaje.

— Bądź tak dobry i powiedz mamie, że państwo Rodenowie idą oboje.

— Nie mam tak bystrych oczu, poinformuj mnie więc, czy Apollo w mundurze idzie także? bo nie wiem ile kawałków mam mamie zameldować.

— Berti jest także...

— Janko, czy nie byłoby lepiej dać nogę do lasu?

— Jeżeli miałbyś być w takim uszczypliwym humorze... to może i lepiej.

— No dziękuję, coby to potem starzy mieli za kazanie... wolę już z dwojga złego robić uprzejmego... Och, co za uroczysta para, jedwabie pułkownikowej szumią... no nie patrz tak pogardliwie Janko... idę już oznajmić mamie pół-boga na emeryturze z małżonką i synem... — Henryk odchodzi śmiejąc się, bawi go gniewne spojrzenie Janki.

Pani Teresa wygląda rzeczywiście uroczyście w swojej jedwabnej sukni, której kraj wlokąc się po gościńcu wywołuje obłoki kurzu... pułkownik trzyma się prosto, sztywnie jak na paradzie i Janka mimowoli powtarza w myśli uwagę Henryka „półbóg na emeryturze”. Po-tem jej spojrzenie zwraca się na Bertiego, w bluzie z czapką nasuniętą na oczy, z rysem znużenia w pochyleniu ramion, Berti układający w wiązankę uzbierane po drodze maki w niczem nie przypomina ani ojca ani matki.

Popołudnie rzeczywiście nie jest zajmujące, tylko pani Teresa z mamą Leszetycką opowiadają sobie z ożywieniem o gospodarstwie... sąsiadach.

Starzy panowie po podwieczorku poszli zaraz na ryby, bo pułkownik przyniósł nowo wprowadzone haczyki ze sztuczną przynętą i obydwaj nie mogli się doczekać możliwości wypró-

bowania ich... W allanie, gdzie po podwieczorku schroniła się młodzież, rozmowa urywa się co chwila i daremnie Janka usiłuje ją podtrzymać.

Białe... pierścionkami ozdobne paluszki nerwowo obrywają czerwone płatki maków, które jej ofiarował Berti. Spojrzenie jej błękitnych oczu przenosi się teraz z twarzy brata — na dziwnie dziś spokojną i chłodną twarz Rodena.

— Doprawdy jesteście dzisiaj wstrętni!... obydwaj... Od dwóch godzin usiłuję nadarmo zająć was czemkolwiek... a przecież to wy powinniście się starać.

— Te czasy dawno już minęły... czasy kurtuazji mianowicie... Chociaż ty Berti powinieneś mieć jakieś pojęcie przynajmniej o tem, jak się bawi damy... Wojsko to taka pyszna szkoła w tym właśnie kierunku.

— Sądzisz? W takim razie uczeń był niepojętny... Ale wogóle nie wiem, poco my tu marniejemy w tej otchłani... takie piękne popołudnie, możnaby sobie urządzić wycieczkę łódką — pani przecież nie ma nic przeciw temu?

— Ale owszem bardzo jestem szczęśliwa, że się przestaniemy nudzić.

— Smutne, ale prawdziwe — wzdycha Hen-

ryk... — Mam być uprzejmym i przynieść ci parasolkę czy kapelusz?

— Parasolkę... a powiedz mamie, że idziemy nad staw.

Henryk odchodzi pogwizdując.

I Berti korzysta z sam na sam, przyciskając swoje gorące usta do rąk Janki.

— Słuchaj Janko... rozsądź raz tak albo tak, lepsza najgorsza pewność, niżeli ta sytuacja fałszywa.. A zresztą ludźmi jesteśmy, potrafimy się kochać i unikać pieśczoćy... Miłość ta najczystsza, najlepsza... pragnienia budzi... Powiedz Henrykowi, matce — poradź się kogokolwiek i skończ raz... tę mękę...

Błękitne oczy Janki wznoszą się ku niemu zdziwione.

— Wczoraj jeszcze... radziłeś mi czekać i namyślać się Berti...

— Wczoraj!... Janko czasem między godzinami może leżeć przepaść... Do wczoraj miłość moja dla ciebie była spokojna, cicha... od wczoraj... pragnę cię Janko... W każdym człowieku przyczajone zwierzę spoczywa — i nagle zjawia się domagając się swoich praw... można go zwalczyć... zgnieść, nie można wystawiać na niebezpieczeństwo codziennej pokusy... Mężatką jesteś Janko... rozumiesz przecież... nie gniewaj

się o... o tę brutalną może otwartość... Kocham cię... Kocham więcej niżeli przeczuwasz... otwartość moja ma jedynie twoje dobro na celu... Rozumiesz... najmiłsza?...

I Janka rozumie... taka słodka ociężałość kładzie się na jej całej istocie... Taką pierwszy raz w życiu odczuła rozkosz pieśszoty...

Mają unikać jej?

Dlaczego?...

Życie takie krótkie... i tak rzadko rozkwitają w nim kwiaty...

Nikt nie wie, co go jutro czeka i dlaczego dziś odsuwać szczęście do tego niepewnego jutra...

Dlaczego nakładać sobie dobrowolnie... pęta... stawiać zapory... przecież się kochają, przecież chcą do siebie należeć przez całe życie...

I mimowoli nagle przypominają się Jance słowa księdza Jundziła: Ludzie zamieniają tak często głos zmysłów z głosem serca... ku swojej szkodzi.

Ach czyż te dwa głosy nie zlewają się w jeden akord... zbyt silny, by się mu mogła oprzeć wola człowieka...

— Berti... mój... Berti... ja przecież dawno... wybrałam... nie potrzebuję o radę pytać nikogo...

Leonowi dziś jeszcze odpiszę... I ja chcę być wolną! wolną, by móc być twoją... Ja...

Janka urywa. Skrzyp piasku, zbliżające się kroki przywołują ich do rzeczywistości... ramię, obejmujące kibić Janki opada.

Mimo to Henryk z parasolką w jednej, szalem w drugiej ręce, przystaje chwilę na progu... Jest coś w spuszczonej oczach Janki, w nienaturalnej sztywności Rodena, co mu daje do myślenia.

Że coś się odegrało w czasie jego nieobecności to pewne, ale co?

Sztuczna wesołość Janki, gdy idą potem drogą ku stawowi i nagła rozmowność Rodena, zastanawiają go jeszcze bardziej.

Badawczo oczy Henryka błędzą między Janką a jej towarzyszem...

Rozpromieniony wyraz jej źrenic... ta mimo-wiedna kokieterja ruchów.

Henryk jest również gorącym zwolennikiem nowych prądów, wolnego ja... Odwieczne formy, zastarzałe przesady wzbudzają u niego uśmiech politowania, to też uczucie, którego doznaje teraz na myśl, że między Janką a Rodenem może istnieć miłość, wzbudza w nim głębokie zdziwienie.

Żal mu siostry...

— Dlaczego?... samby nie umiał odpowiedzieć w tej chwili...

Może, przeczuwa jaką bolesną drogą rozczarowań dąży dusza kobiety, aż dojdzie — do nieprawej miłości.

Może, przyzwyczaił się mundur uważać za wytworne okrycie dla duchowego zera i trudno mu jest zdobyć się w tym wypadku na sąd bezstronny.

Jak wielu ludzi wierzy i on, że rozwój muskułów musi wpływać na psychiczny zabijająco.

I nie może sobie wyobrazić, by zręczna, silna postać Bertiego mogła zawierać złożoną, wrażliwą duszę.

A potem cudzoziemiec... cóż z tego, że mówi ich językiem tak biegle - - kochać tego, co ona nauczyła się miłować od kolebki nie potrafi...

I chociażby nawet dusze ich rzeczywiście były jednym akordem w muzyce wszechświata, to ogień ma swoje prawa i swoje okrutnie realne strony...

— Żal mu Janki.

Nie wiedział nawet, że jego modernistyczna dusza tak po filistersku kocha siostrę...

I teraz w swój zwykły uszczypliwy sposób miesza się do rozmowy.

— Przyznaj się Berti... dla takiego typowego porucznika musi być ogromnie nudne takie życie na wsi... Ani koni... ani rekrutów... ani pięknych kobiet... Co ty właściwie robisz z twoim czasem teraz?

— To samo co i ty! Przecież nie masz monopolu na beczynność?

— Jest różnica między beczynnością a beczynnością...

— Naturalnie — drwiący uśmiezek podnosi kąćki ust Rodena — beczynność ciała nie pociąga drzemki ducha... mózg ludzki pracuje ze zdwojoną energją... i twój zapewne także... Co do mnie... psyche takiego... „typowego“ porucznika nie może się liczyć...

Srebrzysta powierzchnia stawu gładka dziś i cicha, jak w zwierciadle. Odbijają się w niej proste, smukłe pnie sosen... balsamiczna woń rozgrzanej żywicy napełnia powietrze.

Cisza... jakaś uroczysta płynie od tej natury... ukojeniem.

I na chwilę czar krajobrazu kładzie się takim potężnym wrażeniem na duszach tych trojga... że milkną... zapatrzeni w przestrzeń... zasłuchani w te ledwie dostyszalne głosy natury...

Jakiś szept tajemniczy od starych sosen płynie...

Brzęczą roje muszek.

Cichym lotem jednodniówki krążą... to się do fal srebrzystych przytulą... to przysiadają na szuwarach nadbrzeżnych.

W przejrzystej szybie stawu... ryby się przesuwają jak cienie, czasem biel podbrzuszy zabłyśnie, czasem się szczupak nad powierzchnią pluśnie... kręgi się tworzą na wodzie i rozbiegają coraz dalej... aż ku brzegowi.

Tysiące drobnych rybek grzeje się do słońca w płytkiej wodzie nadbrzeżnej.

I oczy Janki mają coś z tej ciszy otaczającej ich natury, gdy wznosi je teraz ku zamysłonej twarzy Rodena.

— Prawda, jakim ukojeniem kładzie się ta cisza na ludzką duszę?...

— Chciałoby się, by ukołysała w śmierć.

— Śmiałe żądanie... i nie wiem, czybyś był zadowolony, gdyby matka natura załatwiła je przyzwalająco... — rzuca Henryk.

— Dlaczego nie — Berti energicznym ruchem podnosi swoją piękną głowę — niebył wyobrażam sobie... taką ciszę właśnie... Brak uczuć... żądz, myśli, jakieś rozpląnięcie własnego ja w ogólnej harmonji wszechświata.

Henryk zapatrzył się w dal, jego nerwowe palce szarpia rudawą brodę.

— Śmierć... on widzi w niej tylko tragedję grobu — rozkład ciała... I jedno, co wstrząsa nim do głębi to pytanie, czy duch ulega temu rozkładowi równie wolno... czy czuje ten rozkład, to zamieranie... Na samą myśl krew ścina mu się w żyłach przestraczem.

— Słuchaj... a jeżeli nasze duchowe siły rozpadają się wraz z ciałem? Jeżeli zwolna, zwolna z coraz słabszem zrozumieniem towarzyszymy przetworowi materji... Jeżeli ten koniec, który nazywamy śmiercią jest do ogólnego przetworu pozornym końcem tylko...

— A czy nie przyjmujecie panowie możliwości, że śmierć jest rodzajem przeistoczenia z poczwarki w motyla?... Kokon, to jest ciało, opada, a wolny duch rozpoczyna nowe istnienie. — Ciemna, wysoka postać księdza Jundziła podnosi się z nadbrzeżnych szuwarów. — Nie miałem zamiaru narzucać państwu mego towarzysztwa, ale poruszony temat zelektryzował moją księżą naturę. To dziwne, każdy z was tworzy sobie o zagadce bytu inne pojęcie, tylko to proste rozwiązanie, które wam daje wiara, omijacie uporczywie. Pan zapewne młody pan Leszetycki? — a ja Jundził, wikary, będący właśnie na najlepszej drodze do przekonania

się w praktyce, które z naszych trzech zdań jest właściwe.

Lekki uśmiech przebiega po twarzy księdza, gdy z serdeczną uprzejmością ściska po kolei podane dłonie.

— Jeżeli wam moja sutanna nie zawadza, chciałbym być czwartym.

I Berti się śmieje.

— Księdza sutanna i mój mundur podziela się teraz uprzejmościami Henryka. A Janka dorzuca :

— Może się księdzu uda w ogólnej dysharmonji wywołać harmonję.

Roden odczepił chwiejącą się u brzegu łódkę, ze starej budki nad brzegiem przyniósł wiosła.

— Pojedziemy ?

Jego kształtna, obcisłym mundurem opięta postać rysuje się ciemną sylwetą na srebrnym tle stawu.

— Charon w mundurze — drwi Henryk.

— Przy obecnem ulepszeniu broni — Charon w czasie najbliższej wojny okryje swoją grecką nagość mundurem... — odcina się Berti.

Janka z księdzem zajmują środkową ławeczkę. Henryk wyciągnął się na dnie łodzi bez względu na jej wilgoć.

Jednym silnym ruchem łódź odbija od brzegu i ślizga się lekko po zwierciadlanej powierzchni stawu... Miarowo zatapiają się i wznoszą wiosła.

— Gdzie pani rozkaże?

— Może tam, w ten cień sosen... widzi pan jak konary słońce prześwieca i gra tysiącem plam złotych na wodzie.

— Nieprawdąż, księżę wikary, takie korzystanie z cudzej pracy jest przyjemne — odzywa się Henryk. — Ja mam taki wstręt do jakiegokolwiek trudu... że wolałbym się wyrzec przyjemności, gdyby mi przyszło pracować na nią. Nie, bez żartu ja czuję poprostu jakiś lęk na myśl o pracy... Jest to zresztą naturalne, do fizycznego trudu trzeba mieć siły odpowiednie, a ja ich nie mam.

— Żelazo nieużywane rdzewieje — odrzuca ksiądz. — I jeżeli młode pokolenie skarży się na brak sił fizycznych, to pochodzi tylko z tego, że ich nie używa. — Pieniądz zakopany też nie przynosi procentów.

— To czemuż ksiądz swój kapitał również zakopał. Łatwo drugim prawić kazania.

— Dziedziczność ma także swoje słówko do powiedzenia w życiu człowieka.

— My wszyscy jesteśmy dziedzicznie obciążeni — zapala się Henryk — brak woli wynika z zanadto wesołego życia poprzednich pokoleń, jak i brak sił... Gdyby Darwin żył, mógłby w swoim przeistoczeniu dwa nowe okresy dodać... po małpoludach ludzie... po ludziach... nerwowcy i ten przetwórczy nowy zakończyć powrotem w stan pół dziki idjotyzmu. Bo czym byłby mój syn na przykład? Ja mam napady braku woli i muszę w alkoholu szukać podniety... Naturalnie czasem rozpiję się — potrzeba trunków podniecających już teraz jest moją drugą naturą. Mój syn przyniosłby na świat odziedziczone po ojcu rozprężenie duchowe... stargany ustrój nerwowy, skłonność do ulegania wszelkim pokusom z braku woli, a mój wnuk odziedziczyłby to wszystko w tak wysokim stopniu, że byłby idjotą... Od tego punktu droga do świata zwierzęcego... powrotna droga do małp, mięczaków i amfibji da się już łatwo odszukać.

— A cóż duch ludzki?

— Duch we mnie się rozpręży — w moich następcach tylko od czasu do czasu rozbłyśnie, aż zmieni się w instynkt... w zwierzęcy, ślepy pęd...

— Co prawda biedni jesteście z takimi my-

ślami i grzeszni, jeżeli z taką wiarą macie odwagę zakładać rodziny.

— Dlaczego mielibyśmy sobie odmawiać rozkoszy. Nasi przodkowie pławiąc się w zmysłowych uciechach nie myśleli o nas, dlaczego my mamy sobie odmawiać czegokolwiek ze względu na przyszłe pokolenie? Niech żyje życie!

— I pan to nazywasz życiem? — ciemne, łagodne oczy księdza spotykają długim spojrzeniem szare, niespokojne oczy Henryka.

— A ksiądz może nazywasz życiem takie więdnienie ofiarne?... takie obumieranie powolne, na jakie was usiłuje skazać wasza wiara. Kwiaty są na to, żeby się ich wonią paść... na to, by się rozwijały w słońcu, traciły płatki w burzy, sypały pyły w miesięczne jasne noce — na to, by ich życie deptało. Przenosić je w ciszę kościoła... kazać im więdnąć w chłodnym cieniu... w zapachu świec — na ofiarę jakiemuś bóstwu, to zbrodnią przeciw prawu życia — prawu natury.

Uśmiech nieskończenie litościwy przebiega po ustach księdza.

— Ofiara z samego siebie... daje szczęście... czyste, wielkie, którego wy w burzach świata nie znajdziecie... Każda ofiara... jest szczęściem.

— Frazesy!

Oczy księdza przenoszą się z poblądłej magle twarzy Janki na odwróconą zadumaną twarz Rodena, gdy dorzuca z mimowiednym naciskiem:

— Daje duszy spokój spełnionego obowiązku. Tak jak każde zboczenie... z tej drogi tysiące niepokojów, wątpliwości... walk zaszczepią...

— Gdybyśmy dziś wiedzieli co jest obowiązkiem... tyle dróg teraz stoi przed duszą ludzką od chwili, gdy się jej rozwój zaczyna, że trudno bezdroże od drogi rozróżnić... Smutne, głębokie oczy Bertiego zwracają się teraz ku księdzu.

— W poszanowaniu praw boskich i ludzkich.

— A jeżeli się w Boga nie wierzy a w prawach ludzkich widzi cały skład fałszywych, przestarzałych reform, stworzonych na to, by krępować wolny lot ludzkiego ducha...

— Ikarowy lot...

— Ktoś... woła... — przerywa Janka.

I rzeczywiście z przeciwnego brzegu dolatuje natężony głos dziecka.

— Księżę wikary!... księżę wikary!...

Zaniepokojony odwraca się ksiądz Jundził. Łódka zawraca... ramiona Bertiego pracują z po-

dwójną siłą... Jak strzała pędzi łódka w kierunku głosu i wbija z siłą w piasek nadbrzeżny, tuż okok dwunastoletniego wyrostka.

— Co się stało?...

— Proszę księdza, pani Rucka mnie posłała... mały dostał konwulsji, a doktor wyjechał na wieś do chorego. I pani bardzo prosi, żeby ksiądz przyszedł...

— Mój obowiązek woła... dziękuję za przejazdkę...

— Ksiądz pozwoli... — wysmukła postać Janki staje u jego boku. — Sądzę, że i ja mogę się tam przydać... jeżeli nie dziecku to matce.

— Chodźmy zatem...

— Do widzenia... powiedzcie tam panowie mamie, żeby się nie niepokoila, jeżeli bym później wróciła.

W słonecznej poświacie... wysoka surowa sylwetka księdza i jasna kształtna postać oddalają się żywo.

* * *

— Och, ksiądz... — pani Rucka wyciąga do przybyłego obie dłonie, jej białym czepeczkiem obramowana, zmarszczkami porwana twarz

uśmiecha się przez łyzy. — Jak to dobrze, że ksiądz wikary przyszedł, teraz nieco konwulsje ustąpiły... biedne Mańczysko tak desperuje, a doktor, jak na złość, wyjechał na wieś i znikąd pomocy... łyzy płyną po brózdach twarzy...

— Moja droga pani Rucka... w Bożem miłosierdziu zaufać, a rąk nie opuszczać to jedyna rada... ale nie sam przyszedłem... pani Rolska.

I Janka słuchając jakiegoś dobrego popędu, pochyła swoją złotą głowę do tych spracowanych, biednych rąk... jak niegdyś, gdy z Manią razem chodziły do szkoły.

Tylko wtedy ręce te były białe... delikatne, dziś poczerniała skóra, zgrubiały członki.

I jak niegdyś serdecznie przytula pani Rucka do piersi złotą główkę.

— Janka! — i zaraz dorzuca zakłopotana — że też sobie pani przypomniała o nas... Mania się ucieszy... moja... biedna Mania... Ale proszę dalej...

W małym pokoiku na poduszkach łóżka leży kilkomiesięczne zaledwie dzieciątko tak cicho... tak bez ruchu... że Jankę ogarnia trwoga, iż przyszli za późno...

Obok łóżka z głową wtuloną w poduszki klęczy Mania i tylko ruch ramion zdradza, że płacze,

— Dałyśmy okład na brzusek z ciepłej oliwy... — szeptła pani Rucka.

A Janka serdecznym uściskiem obejmuje ki-
bić klęczącą.

— Maniusiu... nie płacz... będzie wszystko dobrze...

Para zapuchniętych oczu wznosi się ku Jance... Głęboka litość budzi się w duszy Rol-
skiej na widok tej mizernej, zmienionej twa-
ryczki... byłej przyjaciółki...

Janka pamięta tę świeżą, wiosenną urodę
dawniejszej Mani... Te wyzywające, roześmiane
oczy — te usta złożone jak do pocałunku. Ach
ileż łez, ile nocy bezsennych, złożyło się na tę
zmęczoną twarz... na te oczy... Biedne, biedne,
spełzłe bławaty... Jest coś w ich wyrazie, co
przypomina spojrzenie skopanego psa... takie
beźmiernie żałosne i... cierpliwe...

— O, Janko! Janko!... popatrz... to moje
wszystko, mój skarb jedyny... i ja nie wiem jak
je ratować... gdzie dla niego szukać pomocy...
Boże, mój Boże... tylko jego mi zostaw... tylko
jego...

— Moja droga... pani Maniu — ręka księdza
Jundziła łagodnie się kładzie na ramieniu mło-
dej kobiety. — Będzie jak Bóg da... a gdyby
nawet... zabrał ci je... moje biedne dziecko...

to wierz mi, wyroki Boga są dla dobra ludzi... Powiedz dziecku... było ci życie tak pięknem, że całą siłą wołasz do Boga o życie dla twojej dzieciny... Czy wiesz, coby to twoje małeństwo naciępało się w życiu... Trzeba się poddać woli Bożej... i jej wyrok zostawić...

— O, księżę... kiedy to dziecko moje... to część mnie samej... Za moje łzy, cierpienia, za upokorzeń tysiące, wynagradzała mnie jedna pieszczota mego dziecka... Janko, tyś matką, ty rozumiesz mnie, prawda?... Serce każdym nerwem wisi na tej dziecinie... Och, gdyby Bóg mnie cierpieć kazał za niego... każdy ból przyjmę, tylko ono... ono...

Pani Rucka z księdzem cofają się do kuchni. Księdzu przychodzi na myśl, że Berti chętnie pojedzie po doktora i że pomoc za parę godzin będzie... I zaraz też odchodzi... Pani Rucka wraca na chwilę do pokoju...

— Maniu, ksiądz wikary poszedł poprosić pana Rodena o konie... przywiozą doktora... Moja... moja biedotko... uspokój się, Bóg dobry... Bóg miłosierny...

Cisza... dziecko usnęło... Janka przytuliła do siebie Manię, ręka jej trzyma dłoń przyjaciółki. Dawno... bardzo dawno siadywały tak o szarej

godzinie i spowiadały się sobie z marzeń dziewczyńskich...

Przeszło...

Nie wróci...

Teraz milczą, obie zasłuchane w oddech chorego dziecka... za każdym cięższym, głębszym Janka czuje, jak ręka w jej dłoniach spoczywająca, drży.

I ogarnia ją smutek...

Ile życie tego dziecka właśnie ściągnęło upokorzeń na biedną Manię... ile rozczarowań... ile bólu... i z jaką siłą bije to serce dla tego dziecka właśnie...

I Jance przypominają się własne dzieci... chore... biedne...

Kochać je była powinna... wynagrodzić ciepłem uczucia wady urodzenia... a ona...

Rzuciła swoje pisklęta i chce słać nowe gniazdo.

I będzie mieć dzieci... zdrowe, silne... i da im swoją miłość... a tamte...

Wydziedziczone... opuszczone, któż im zastąpi matkę...

Kto się nad ich łóżeczkami pochyli w chorobie?...

Kto ich serdeczną obdarzy pieśczęcią?...

Kto pokieruje?

Kto nauczy znosić niedolę losu cierpliwie?...

Czyż nie dosyć, że im natura odebrała zdrowie... mają i matkę stracić?...

I dlaczego?...

Dlatego... że mają oczy Leona... rysy Leona... że są takie niedołączne... takie brzydkie...

Czyż Mania nie powinna w takim razie nienawidzić w dziecku człowieka, który ją uwiódł, który jej młode życie zdeptał...

Czy można dziecko odepchnąć za winy ojca...

Mrok zapada...

Szare cienie kładą się po izdebce...

Dziecko śpi...

I z piersi biednej, splakanej matki wydobywa się szept serdeczny...

— Jakaś ty dobra... że... żeś się nie wstydziała przyjść do mnie, Janko...

— Wierz mi, Maniuś, tak serdecznie... serdecznie współczuję...

— Wiesz Janko, żeś ty pierwsza... jedyna ze wszystkich, którzy niegdyś tak serdecznie żyli z rodzicami... Mój jeden fałszywy krok... parę chwil zapomnienia i całe życie nie starczy na... odpokutowanie... Nie dość... Ty nie wiesz Janko jak to boli w człowieku, którego się pokochało... odkrywać brak serca... honoru... Zosta-

łam przy nim, rok cały nie z miłości... och nie... ale chciałam dla mego dziecka nazwiska.. chciałam, by nie należało do tych nieszczęśliwych... wydziedziczonych... Z mojej miłości wstręt tylko został... Dla dziecka... dla mego dziecka chciałam tę niewolę, przy nietylko nie kochanym ale znienawidzonym człowieku przyjąć na życie całe... U nóg mu leżałam i żebrałam dla mego dziecka... nazwiska... wyśmiał... mnie... W zimową, mroźną noc, z dziecieniem w ramionach stanęłam na progu... domu... domu... który szalona porzuciłam, by lecieć za... hańbą... Och, Janko, zdawało mi się, że nie potrafię zapukać... taki pałacy wstyd przejmował mi duszę... i gdyby nie ono... śmierćbym była wybrała nad ten powrót...

Przez chwilę ciche, tłumione łkanie wznosi pierś panny Ruckiej.

— Gdy mnie rodzice pod swój dach przyjęli — nagle cofnęli się od nich wszyscy... czem to było dla takich starych... do szacunku przyzwyczajonych ludzi... zrozumiesz... Och, Janko... gdy człowiek spadnie... i rozbije czaszkę na bruku... zbiegną się ludzie... doktorzy opatrują rany... Każdy chce mu spokój zapewnić aż do wyzdrowienia. A gdy taka biedna, nieświadoma dziewczyna w walce życia

ulegnie... gdy sobie duszę rozedrże, cofają się wszyscy... wszyscy... I tylko szyderstwo, tylko pogardę mają dla nieszczęsnej... Gdy tata umarł przed paru miesiącami... zaledwie w tygodni parę po moim powrocie... byłybyśmy doprawdy na śmierć głodową skazane... gdyby nie ksiądz Jundził.

Mania milknie... w mroku odcina się ostremi konturami jej zboląta twarzyczka i te oczy szeroko rozwarte, zapatrzone gdzieś... w przeszłość bolesną...

— I ja dzisiaj inaczej na moją matkę patrzę... życie nauczyło mnie kochać... Niegdyś oburzałam się, że mi na małżeństwo z Karolem pozwolić nie chcieli... Mój Boże... oni widzieli przepaść, której moje zaślepione oczy dojrzec nie chciały... coś dziwnego, że mnie zatrzymać pragnęli... I jabym pewno nie zrobiła inaczej... Dlaczego... dlaczego oceniać, rozumieć nie umiemy wcześniej. Dlaczego dopiero jak nas życie zdepta... otwierają się nam oczy... na własne błędy... Jakaś ty szczęśliwa Janko, masz dzieci... które mają prawo cieszyć się życiem, którym możesz dać przyszłość szczęśliwą... terazniejszość pogodną...

— Moje dzieci... — głos Janki drży — moje dzieci należą także do pewnego rodzaju wy-

dziedziczonych... są to takie., biedne... na całe życie charłactwa skazane dzieci...

— To smutne... ja wiem, jak serce boli, gdy dziecko chore, życiem się dało, by mu ulgę przynieść. Ale Januś, czasem z takich małych słabeuszy rozsądne wychowanie tworzy zdrowych ludzi. Tem bardziej... wy macie środki po temu. Przecież teraz przeważnie wszystkie dzieci są w okresie dziecięctwa takie delikatne i hartować je dopiero trzeba na ludzi...

— Moje dzieci są dziedzicznie obciążone. Tonek ma ogromną skłonność do skrofuł. Zdziś ma kości tak miękkie...

— To przecież wszystko choroby, na które teraz tysiące dzieci cierpi... opieka matki, ćwiczenia fizyczne, usuwają czasem bez śladu to wszystko...

Opieka matki... Janka zakłopotana pochyla głowę.

— Widzisz, ja tak mało zajmuję się dziećmi... nasze bony, guwernantki, chowają je, mnie... ja im doprawdy zbytęczną jestem...

— Matka? dzieciom?

Długa chwila ciszy.

W ciemnościach, załęgających pokój, Janka nie dostrzegła już twarzy pytającej, tylko z tonu

iego zapytania bije bezmiar zdziwienia, wyrzut prawie.

I Janka czuje nagłą potrzebę usprawiedliwienia się. Ta dziewczyna, której ręka spoczywa w jej dłoniach, drogą przebolesną zdobyła znajomość życia, dusza jej zbłądziła sama, więc musi mieć wyrozumienie dla błędów drugiej. A zresztą, tamta nie wahała się odkryć przed nią całego swego ja, dlaczegoż ona...

I Janka przerywanym, wzburzonym głosem opowiada całą niedolę, całą smutną historję swego małżeństwa. Opowiada o tych dzieciach, które otoczone płatną służbą, są dla niej tylko dziećmi z nazwiska. I skargą mimowolną drży jej głos.

— Nie nauczyłam się ich kochać, macierzyńskie moje uczucia śpią...

I dalej Janka o swojej miłości mówi, o tej gorącej, prawdziwej, o założeniu nowego gniazda, o szczęściu, w jakie wierzy, że znajdzie przy boku Bertiego. Mimowoli głos jej ma ciepłe, rozmarzone tony, sama poddaje się urokowi rozmarzonego obrazu... I dysonansem w tę jej „pieśń słoneczną“ wpada głuche łkanie Mani...

— O na Boga Janko, Janko, tylko to nie... popatrz na mnie, na żywy przykład wykroczenia przeciw prawom ludzkim, boskim... Janko,

ty nie wiesz, jak życie boli... Nie wiesz jak prędko w harmonję waszego szczęścia zaczęłyby się mieszać fałszywe akordy. Moglibyście mieć dzieci. O twoich z Leonem mówisz... biedne, wydziedziczone, a chcesz drugiej linii jeszcze bardziej wydziedziczonych dawać życie. Twoje dzieci nie miałyby ani ojczyzny ani wiary ani praw do życia. Och, tylko nie to, Janko... Nie gniewaj się na mnie, ale nie chciałabym, by cię życie tak skopało jak mnie...

Mani przerywa turkot kół i w tej chwili zapomina o wszystkim, co nie jest jej dzieciną i pomocą dla niej... Doktor... Z jaką wdzięcznością jej oczy zwracają się ku przyjaźnie uśmiechniętej twarzy powożącego Rodena... pomoc przywiózł jej dziecku...

Młody doktor uważnie bada dziecko. Spojrzenie Mani spoczywa na jego twarzy z takim naprężeniem oczekiwaniem, tak jej blade usta drżą boleśnie...

Dzisiaj... tak się jeszcze to maleństwo śmiało, tak te drobne rączka chywały się matki... Teraz, gdy badanie doktora zbudziło je, szklisko patrzą oczy z pod przyciemnionych powiek.

— Obecnie niebezpieczeństwa niema, jeżeli się drgawki powtórzą... — doktor urywa, by

dorzucić po chwili: — to proszę zaraz posłać po mnie... Pani karmi sama...

— Teraz... zaczęłam odłączać... — krwawy rumieniec barwi twarz biednej Mani.

Doktor daje wskazówki, z jego spokojnej twarzy trudno wyczytać cośkolwiek. Tragedje sekcyjnych stołów i szpitalnych sal uczą zobojętnienia dla ludzkich bólów... oswajają ze śmiercią, jako z nieodzownem zakończeniem wszystkiego.

* * *

Dni, które teraz nadeszły, rozdzieliły, ograniczyły na wymianę obojętnych słów stosunek Rodena z Janką.

Dziecię Mani umarło...

I Janka usiłowała w tych przesmutnych dniach poprzedzających zupełne rozstanie matki z dzieckiem być Mani czemś w rodzaju siostry.

Tak to nagle przyszło...

Jeden skurcz, tyłogłowie wbiło się w poduszki, usta wydłużyły, białkami zabłysły oczy, mały korpus wyprężył się i koniec...

Życie uleciało, na poduszkach pozostał sinawy trupek, mały, biedny, a zawierający w sobie wszechświat dla matki...

Mania szalała z bólu, ale gdy ksiądz Jendzioł wziął jej rękę w swoje szczupłe dłonie i mówić jej zaczął o tem, że dziecię jej tym wczesnym zgonem zaoszczędziło sobie bólu życia, zapłakała.

— Pomyśl dziecko, przecież nasze życie to właściwie wędrówka do grobu, to ostateczny koniec, za niem swoboda. A czyż nie lepiej usnąć tak cicho, w zaraniu lat, niżeli dochodzić do tego celu drogą łez, zawodów, rozczarowań, ciężką drogą życia. Przecież wierzysz w przyszłe życie? wierzysz w Boga?

I głucho, z bólem wezbranej piersi głos się rwie.

— Wierzę...

— Łzy twoje, rozpacz, to samolubna dusza ludzka, która się pustki boi. Tyleś już przeszła w życiu dla dobra tego dziecka i dziś nie płacz, pomyśl, że to ból dla ciebie tylko, tylko dla ciebie smutek, że dziecku ǳwemu dobrze, że to najlepszy los, jaki Bóg może dać człowiekowi. I przez miłość dla dziecka tego bądź i ty dobrem dzieckiem. Masz matkę, starą matkę, Maniu, i jak dla twojej duszy syn był wszystkim, tak ty byłaś i jesteś dla niej... Wiesz, jak cierpienie dziecka matkę boli...

— Och, wiem...

— Widzisz, a ty młoda jesteś... a matka twoja stara i twój ból przygniata ją podwójnie... ciężarem lat i cierpienia. Ten mały trupek tutaj to tylko cielesna powłoka twego syna... dusza u Boga. A Chrystus... który mówił: „pozwólcie tym małym przyjść do mnie“ — przygarnie i twoje dziecię do swego jasnego królestwa... Gdyby żył, byłby zawsze jednym z tych biednych wydziedziczonych... tam gdzie odszedł, wydziedziczonych niema... Miłość Boska jasna, promienna, jednaka, tuli powracającego grzesznika jak dziecię niewinne... upadłą kobietę i siostrę zakonną... Bo na szali, którą Bóg nasze błędy waży, nie kładzie się tylko wina i jej powody... o, nie! tam łąza każda... każda noc bezsenna... każda modlitwa i każde upokorzenie zmartwychwstają, by bronić grzesznika...

Taka siła przekonania bije z głosu, z promieniejących ekstazą oczu księdza... Siła wiary gorącej, prawdziwej...

I w sercu biednej matki układa się nagle burza rozpaczy... jej dziecku dobrze...

Ona?... pustka jej została rozpaczna...

Długie, bolesne, z każdego promienia szczęścia odarte życie...

Ale jakież ofiary nie poniesie matka dla szczęścia dziecka...

A czyż człowiek, który wierzy, może... rozpaczać nad śmiercią swego kochania?...

I te łzy, które płyną teraz cicho po jej mizernej twarzyćce... to tylko nad własną niedolą...

I gdy wieczorem Janka przyniosła kwiaty z ogrodu ojca... zastała Manię spokojną... cichą...

Długie, cięte goździki, blade róże, odurzające wonią tuberozy, zakryły małą trumienkę... I mała główka, wychylająca się z tej fali kwiatów zdaje się śnić spokojnie...

A Mania czuje, że to wprawdzie jej dziecko, jej kochanie leży w tej trumience, ale obce jej... dziwnie obce...

Dusza odeszła.

Biedni ci, którzy uporczywie w pozostałej powłoce usiłują odnaleźć swoje kochania.

Biedni ci, co rozpaczliwie cienia duszy szukają w zastygłych rysach... i szaleją z bólu przy tej cielesnej, na zniszczenie skazanej powłoce...

Och, nie na grobach, nie w trumnie... duszę tylko duszą odnaleźć można...

Oddajcie ziemi... co ziemi należy...

Iskra Boża... duch nieśmiertelny — to coście w kochaniach waszych na ziemi kochali — zrzuciło tylko niewolę ciała... wróciło do swej wolnej ojczyzny.

W te jasne sfery...

I Mania ma nagle jakiś szczęśliwy prawie uśmiech na bladej twarzyczce...

— Moje maleństwo... tobie tam dobrze... dobrze...

Proś Boga za mną.

* * *

Gdy Janka odeszła zadumana nad tą dziwną siłą wiary... minowoli pociągnięta tą mocą, która rozpacz matki nad trumną dziecięcia... w spokój... w nadzieję zamienia — w pokoju Ruczych długo czuwały dwie... matki...

Bardzo dawno... w dziecińczych czasach jeszcze siadywały tak czasem i wtedy dusza Mani jak książka otwarta kładła się przed oczyma matki... Później... och, później straciły tę spójnię serdeczną...

Miłość Mani... jej upór szalony, stargały samowolnie łącznik duchowy...

A potem... gdy wróciła... obawa zadania bólu tej biednej przez życie zdeptanej dziewczynie...

obawa dotknięcia zbyt świeżej, zbyt krwawej rany wytworzyła, dziwny, prawie chłodny stosunek między niemi...

Aż dzisiaj... może to dziecko, które odeszło, wyprosiło u Boga miłosierdzie... dla tych dusz osieroconych...

U trumienki dziecka jednej — druga matka tej nocy odnalazła drogę do duszy swego dziecka.

* * *

Janka niecierpliwie rzuciła pióro... by podrzeć rozpoczęty list do Leona... jest to może dzięsiąty arkusik papieru, który ulega temu samemu losowi... Białe płatki rozsypały się po dywanie...

Nigdy Jance jeszcze nie było tak trudno szalejące myśli ubrać w formę słów.

Nawet początek trudny... starym zwyczajem i jej pióro rzuciło na papier „kochany Leonie“.

Kochany?... jak siła przyzwyczajenia nie może się ze starą formułą rozstać... on tak list do niej zapoczątkował i ona mimowoli rzuciła ten sam nagłówek na papier...



I pierwsza ćwiartka papieru, zamieniona na strzępki spoczęła u nóg Janki...

— Szanowny Panie. — Jak można człowieka, z którym się żyło przez pięć lat... pod jednym dachem... którego dzieci są jej dziećmi naraz obdarzać tym na wskrós obcem „panie“.

Przebiegło przez myśl Janki, gdy druga ćwiartka ulegała losowi pierwszej...

— Mój Mężu...

Zdają się drwić cienki, wąskie litery... czyż od tych słów można zaczynać list, żądający separacji?

Czyż nie wyglądałoby z pomiędzy tych dwóch wyrazów maleńkie, ironiczne b?...

Można pisać były radca... minister... ale były mąż?... Stanowczo nie... i Janka i tę ćwiartkę drze, tym razem z mimowolnym uśmieszkiem.

Dużo jeszcze innych wstępnych tytułów podzieliło los poprzedników zanim zdecydowała się i w tym wypadku odstąpić od formy i zacząć bez wstępu... Ale zaledwie pierwsze zdanie zaczęło się na papierze... zdecydowaniem...

„Dziękując ci za rady w ostatnim liście zawarte... donoszę ci, że postanowienia mego w niczem nie zmieniłam“...

Wtem drzwi otwarto i saryryczna głowa Henryka ukazuje się w szparze.

— Można?... — równocześnie jego oczy spoczywają na podartych kartkach, które przeciąg powstały z otwarcia drzwi, wesoło unosi po pokoju... — Do kogo piszesz tak pracowicie?...

— Do Leona... — przez ramię odrzuca Janka.

— Zamożna z ciebie niewiasta, kiedy tyle materiału poświęcasz na jeden list... i to do męża... Swoją drogą mogłabyś odłożyć na później tę ciężką pracę i pogadać trochę ze mną. Leon może na list poczekać... Nie wahaj się kobieto, ustrój jeszcze dywan — i tym sposobem Henryk wyciąga się w foteliku przy oknie, zapala papierosa i Janka zniecierpliwiona rzuca papier i pióro do szuflady.

— Zresztą, jeżeli masz już taką tęsknotę za małżonkiem, to możemy rozmawiać o twoim domu, bachorach i tam dalej — zastąpi ci to pisanie listu... — I Henryk dorzuca, zaciągając się dymem: — Ja mam wrażenie, że się w waszej małżeńskiej machinie coś... zepsuło... Nie odwracaj głowy siostrzyczko... zepsuło się coś w królestwie niebieskim, prawda?

— Trudno, by się zepsuło coś, co nigdy nie istniało... — Janka nadle zwraca się w stronę brata. — Przekonaliśmy się, że nie byliśmy odpowiednimi dla siebie i... zamierzamy się rozjeść.

Na krótką chwilę szare oczy Henryka zwracają się ku zarumienionej twarzy Janki...

— Czy Leon jest o tem przekonany także... czy tylko ty?...

— Ja... Leon... dla zachowania pozorów byłby w stanie całe życie zadawać sobie przymus... Ale ja... ja chcę być wolną, nie umiem kłamać, udawać.

Chwila ciszy. Jankę denerwuje spokojne zachowanie brata i rzuca pytanie:

— I cóż ty na to?...

— Cóżby? Odwieczna historia o parze koni zaprzęgniętej do jednego dyszla, a posiadających różne temperamta... Z początku jeden rwie, rzuca się... drugi nie daje się wyprowadzić niczem z swojej półdrzemki... woźnica zmusza je z czasem do posłuszeństwa i ciągną obaj swój ciężar...

— Nie, Henryku, u nas się tak nie skończy, Nie! nie! Ja kocham... innego...

— Kochasz Janko... A czy jesteś tak na pewne przekonana, że uczucia takie trwają... bez końca?... Życie ma swoje ogromnie realne strony... i obcowanie codzienne przedstawia w całej nagości wady człowieka, I gdy pierwsze upojenie zmysłów minie... gdy się człowiek wywalczoną zabawką nacieszy, zaczyna ją oglą-

dać... jak dziecko... I znajduje, że zabawka nie jest tak piękną, jak mu się wydawało... I wkońcu pyta sam siebie, czy doprawdy warto było ponosić tyle trudów... walk... tak cierpieć i męczyć się, tęsknić i pożądać... takiej marnej, zwykłej zabawki!... Wierz mi Janko i ja miałem w bardzo młodym wieku taką... zabawkę... Miała ciemne warkocze i takie dziecięce rysy, jak na obrazach Greuza i takie płomienne czarne oczy jak Mursilowskie madonny... i kochała mnie... — uśmiech przebiega po ustach Henryka — całe pół roku... Potem zaczęliśmy wynajdywać w sobie coraz to nowe wady... takie codzienne, zwykłe... Potem zaczęliśmy tęsknić do wolności i tylko brak odwagi z jednej i z drugiej strony zachowywał nam jeszcze czas jakiś wspólność pożycia. Aż jednego dnia ona zdobyła się na krok stanowczy, gdy wróciła jak zwykle wieczorem do domu... mój rajski ptak odleciał do... bogatszej klatki...

— To nie była miłość Henryku...

To była miłość Janko... czysto ludzka miłość...

I zostawiła mi w duszy... niesmak... I wierz mi ogromnie niechętnie wracam wspomnieniem do szaleństw pierwszych miesięcy i do tego... przejrzenia potem... Miłość, to coś w rodzaju ślepoty... życie dokonuje operacji i pacjent

widzi... to co w mrokach wydawało mu się objawieniem niemal.. w czystym blasku dziennego światła staje się... karykaturą...

— Biedny jesteś... z twojemi pojęciami, Henryku...

— I ty biedna jesteś... Janko... Dajmy na to — ciągnie Henryk po chwili — żebyś nawet rzeczywiście znalazła ludzką istotę, której całe ja, byłoby dopełnieniem twojego. Gdyby nawet twoja miłość była tak przeważająco miłością ducha, nie zmysłów, żeby ci dopomogła do niezauważenia codziennych wad... to nie jesteś już panienką, Janko... Przeszłość zbyt często stanęłaby ci na drodze — wspomnieniem, porównaniem. Kobieta podobno ma miłość, która się w niej wcześniej czy później budzi i jest jedynem uczuciem, któremu światłoienne nie szkodzi... macierzyństwo. Kto wie czy wspomnienie dzieci i dobrowolne wyrzeczenie się ich, nie położyłoby się cieniem na całym twojem przyszłym życiu. Czy z czasem nie czułabyś żalu do tego człowieka, którego dziś kochasz, z tego powodu właśnie. Co do mnie, zerwałem ze wszelkimi przesądami, które tworzyły podstawy moralności, praw, wiary... Każde wystąpienie przeciw tym chińskim murom, które pobudowały pokolenia całe, byśmy dziś rozbijali

sobie o nie serca lub głowy... ma we mnie gorącego zwolennika... Ale Janko... jarzmo jest zawsze jarzmem... droga zawsze kamienistą, bicz losu jednakowoż nielitościwym, czy się ma za towarzysza arabczyka czy walacha...

Janka milczy odwrócona ku oknu i Henryk kładzie rękę na jej ramieniu.

— Nie gniewaj się siostrzyczko... nie chciałem ci zrobić przykrości. Mamy oboje dziwnie niespokojne, pożądające czegoś więcej, niżeli życie dać może, duszę. Ja, mężczyzna, więc marzyłem o sławie... ty, kobieta, miłości pragniesz. . Moje marzenie zrobiło mnie tem, czem jestem... zmarnowaną egzystencją... Mój wynalazek — nim go ukończyłem, inny wynalazł i zabrał sławę, pieniądze. Czyja wina, że się w dwóch mózgach równocześnie jeden temat zrodził?... Ale mnie to moralnie zabiło... wykołowało.. odebrało całą chęć do życia, zrobiło nerwowcem, niedołągą, alkoholikiem... Śmieję się, drwię, żyję... ale... gdy tak czasem widzę to niespokojne spojrzenie mamy, gdy zaglądam do kredensu... to mi czasem... To mi czasem tak straszliwie żal tego całego zmarnowanego życia... — I Henryk ukrywa nagle głowę w dłoniach i płacze... płacze... jego szczupłe ramiona wznoszą się nerwowo... Jego cała skurczona,

łkaniem wstrząsana postać ma jakieś podobieństwo do zdeptanego robaka, prężącego się w kurczach konania. Janka zapomina o swojej walce... o miłości, o niepokojach, wątpliwościach, o wszystkim co nie jest Henrykiem... Milcząc przyciska usta do jego rozwichrzonej czupryny. Mój Boże, gdzie te czasy dalekie, kiedy w tym samym dworku bywali tacy dzieciennie szczęśliwi.

Gdzie odeszła im z dusz ta swoboda, wesołość, radość z życia?

Gdzie zginęła ta Janka dawna, która tak gorąco wierzyła w Boga?... ten Henryk, który tak się rwał do pracy, do nauki...

Jasnym wspomnieniem powstają w duszy Janki te szeregi lat szczęśliwych... to całe dzieciństwo radosne.

Jaką ulgą... jakim dobrodziejstwem mieć takie wspomnienie.

A jej dzieci?

Henryk nerwowo odrzuca włosy z czoła i odsuwa ramię Janki.

— Ładne musisz mieć o mnie wyobrażenie, co?

— Słuchaj Henrysiu... przecież taki młody jeszcze jesteś... trochę woli... trochę pracy i można wszystko naprawić.

— Właśnie gdyby nie trzeba było woli i pracy. A co wszystko? Co ty pod tem „wszystko“ rozumiesz? Myślisz, że czerepy duchowe takiego nerwowca dadzą się podrutować jak gli-niak rozbity? Młody? Prawda, podobno mam dopiero 30 lat... ale popatrz się na mnie Janko i powiedz czy z tej młodości ślad jaki we mnie widzisz... Et, siostrzyczko, zostawmy lepiej te kwestje mojego bytu, kto pół życia brodził w bagnie, od tego potem nawet na kwiecistej łące bagno pachnie. Ja już pewno mamie na pociechę w domu zostanę, o ile mnie ta moralność białych dworków nie wygna. Ale o ciebie chodzi Janko...

— Zostawmy i to Rysiu, nie mogę dziś o tem mówić więcej. Co człowiek może na-przód przewidzieć? kiedy przyjdzie chwila, cza-sem i swoim urokiem porwie. Chodźmy lepiej na dół, och popatrz... jakie ciemne chmury ciągną z północy, jak się niebo rozpała dalekim ogniem błyskawic. A w naturze taka naprężona oczekiwaniem cisza... Działa mi to na nerwy, mimowoli i mnie jakiś niepokój ogarnia...

— Och, nim ta burza nadejdzie, mamy jeszcze przynajmniej dwie godziny.

— Chodźmy na dół Rysiu...

W jadalnym pokoju wisząca lampa rozzuca jasne światło. Przy dużym dębowym stole stoi pani Anna z pękiem serwet w ręce i Mania Rucka. Litość rzuciła most nad małostkowością uprzedzeń, nad przepaścią grzechu na pogrzebie małego, jednym popędem dobrego serca wiedzeni, pułkownik i radca ofiarowali ramię samotnym, żalobnym kobietom. I teraz pani Anna tłumaczy właśnie Mani, w jaki sposób chce mieć wyhaftowane monogramy na serwetach, które powierza zręczności jej igły.

Wejście Janki i Henryka przerywa wykład pani Anny. Janka serdecznym pocałunkiem, Henryk ukłonem witą były towarzyszkę zabaw dziecięcych. Ale daremnie Janka usiłuje zatrzymać Manię, nawet życzliwe słowa pani Anny nie mogą jej ośmielić, czuje się tu taką obcą, tak nie na miejscu, tak pragnie zabrać robotę i znaleźć się znowu w domu u matki.

— Odprowadzę cię kawalek, dobrze? — Janka zarzuca biały, miękki szal i ujmuje ramię przyjaciółki. — Pamiętasz, jak dawniej lubiałyśmy chodzić razem tak o zmroku, ileśmy planów nasnuły... wtedy.

Idą przez ogród, ciemno już prawie zupełnie i tylko od czasu do czasu słaby odblask dale-

kiej błyskawicy rozjaśnia okolicę widmowym blaskiem.

— A pamiętasz Janko, jak się wtedy burzy bałaś? Zamykałaś się zwykle w spiżarni, bo nie miała okna.

Janka pamięta coś więcej, że modliła się wtedy zawsze gorąco i że była przekonaną, iż Bóg nad nią czuwa, a dzisiaj... Przyzwyczała się burze podziwiać, jako wspaniałe zjawisko natury, wywiązaniu elektryki przypisywać gromy, och, nie kieruje drogą tych węży ognistych moc nadprzyrodzona... gdzie więcej zbierze się elektryki, tam uderzają.

— A ty, Maniu, lubiłaś stawać w otwartym oknie, pamiętasz?

— I dlatego może wybrałam i w życiu taką burzliwą drogę... — panna Rucka pochyła głowę i dorzuca po chwili: — Ale podobno im więcej cierni na drodze, tem łatwiej odnaleźć na niej Boga.

— Boga? czy sądzisz, że Bóg, gdyby był, zsyłałby na stworzenie swoje tyle cierpień niezasłużonych, że pozwoliłby na tyle bezprawia, podłoty?

— Moja Janko, matka nieraz ukarać musi, zabronić czegoś swemu kochaniu. Człowiek tak często o truciznę dla siebie błaga i szaleje

z rozpaczy, gdy jej nie otrzyma. Gdyby Bóg chciał spełniać wszystkie prośby, które się nam chwilowo niezbędnymi do życia wydają, byliśmy może jeszcze bardziej nieszczęśliwymi. Żądania ludzkie zmieniają się tak szybko, to czego dzisiaj pragniemy, jutro przejmuje nas strachem. A co do bezprawia, podłoty, zdaje się, że i one mają swój cel, kiedy istnieją. Zdeptana, zgnębiona, odepchnięta przez ludzi, znalazłam w Bogu ucieczkę. On jeden woła: „Przyjdźcie do mnie znużeni, cierpiący, ja was pokrzepię“. I gdy człowiek własny ból porównuje z tem cierpieniem, które On, Bóg, dobrowolnie przyjął na swe barki za nas, za nasze winy, to czyż i my za własne sto razy większego cierpienia nie powinniśmy znosić cierpliwie?

— Może masz i słuszność, ale aby uwierzyć, trzeba mieć pragnienie wiary.

— Pragnienie wiary budzi się często w ludzkiej piersi. Ale uważaj, Januś, zagadałyśmy się po dawnemu i ja mam teraz bliżej do domu, niżeli ty... Dobranoc.

Janka zwolna wraca w kierunku domu.

Takie powietrze ciężkie, tak się w niem wone kwiatów snują...

Taka głucha, niczem niezmacona cisza...

Jest w tej ciszy jakiś lęk...

Jakieś bolesne napięcie...

Oczekiwanie...

Głucho huczą grzmoty... daleko... złowrogo...

Błyskawice nienaturalnym blaskiem rozświetlają ciemność.

Janka przyśpiesza kroku. Jej wrażliwa natura podziela panującą dokoła trwogę.

Mimowoli serce uderza szybciej, pulsują skronie.

— To ty Janko?! Pozwolisz się odprowadzić?...

Wysoka postać Bertiego staje tuż przy niej i Janka uczuwa radość ogromną na jego widok.

— Och, Berti... dobrze, że cię spotkałam, było mi tak dziwnie w tej ciszy, bałam się prosto. Odprowadziłam nieco zadaleko Manię Rucką i doprawdy strachem przejmowała mnie myśl, że mam co najmniej dziesięć minut tej ponurej drogi przed sobą...

— Ale teraz nie boisz się już, prawda? Możemy te dziesięć minut przeciągnąć trochę... nie śpiesz tak Janko. Od przyjazdu Henryka nie widziałem cię prawie samej — ręka jego gorącym uściskiem obejmuje jej dłonie, dreszcz szczęścia przebiega ich oboje, pragnieniem...

Złota głowa Janki opada nagle na ramię towarzysza... jej ciepła, życiem tętniąca postać zdaje się wołać pieszczoty...

— I ja tęskniłam za takim sam na sam. Berti... och, jak tęskniłam...

Długi, dziki niemal pocałunek łączy ich usta.

Raz jeszcze...

Raz jeszcze...

Jest w nich coś z wędrowca, który znużony pragnieniem napotkał źródło i pije zabójczo zimną wodę... z rozkoszą.

I oni tak upajają się sobą, bez myśli o jutrze...

Ta ciemność panująca dokoła zamienia rzeczywistość w rodzaj snu.

I Janka z głową opartą na piersi Bertiego poddaje się burzy jego pocałunków... ogarnia ją jakaś słodka niemoc... Jakaś nieznana dotąd rozkosz poddania się cudzej woli.

Rozpalone palce Bertiego błędzą po jej odsłoniętej szyi pieszczotą... zatapiają się w wyściecie stanika... delikatna jak aksamit pierś przez chwilę drży pod dotknięciem rozpalonej dłoni...

I Jance pod tem dotknięciem wraca przytomność.

Przecież matką jest... żoną...

Nosi jeszcze nazwisko Leona...

Gwałtownie niemal wyrywa się z przytrzymujących ją ramion.

Ucieka...

Gna ją obawa przed nim, przed samą sobą...

Niezważa na to, że wichur się zerwał — że deszcz lunął strumieniami... że błyski co chwila rozdzierają niebo i huczą grzmoty... Ucieka jak ścigana łania przed myśliwym.

Nareszcie dom... stary, dobry, kochany dom... w progu matka stoi niespokojna.

— No, nareszcie, bójsię Boga dziecino, przebierz się zaraz i połóż do łóżka... też stara warjatka ze mnie, żem ci pójść pozwoliła tak przed burzą...

Janka przebiega schody... cała jej istota drży jeszcze rozkoszą przebytej pieszczoty... czuje jeszcze żar pocałunków.

I czuje się przy tem taka śmiertelnie zmęczona, taka do żadnej myśli niezdolna...

Och jak dobrze robi ten huk grzmotów, ten ogień błyskawic... ta burza w naturze... jaką harmonję tworzy dla jej własnych uczuć...

O gdyby jeden z tych płomiennych zygzaków zlitował się... jakąż rozkoszą byłoby zgiąć, zabrać ze sobą wspomnienie pocałunków pieszczoty...

Umrzeć l...

Stać się jak Berti mówi jednym blaskiem w istocie wszechbytu... jednym akordem w muzyce wszechświata... ciszą, spokojem, śmiercią.

— O Boże... jeżeli jesteś... jeżeli twoja ręka kieruje drogą tych węży ognistych... oto ja matka... ja żona występna... ja taka występkiem moim szczęśliwa... błagam... Ukarz mnie... piorun jeden mi rzuć z tych szalejących dokoła... jeden... dla mnie! dla mnie, Panie! Jeżeliś syrawiedliwy... jeżeliś miłosierny...

Janka nie rozumie jakim grzechem jest jej modlitwa.

Jak uciekła przed chwilą od pieśczoł, tak teraz pragnęłaby uciec od życia.

Ta zmysłowa cześć miłości takim przepotężnym odezwała się w nich dziś głosem... tak zgłuszyła swoim ogniem... pieśń dwóch dusz... że dreszcz przejmuje Jankę...

W pierwszej jej miłości dla Leona leżało tyle marzeń, snów, tyle dziewczęcej wstydlivosti, taka poezja... och jak brutalnie z tą miłością obeszło się życie...

Teraz jej miłość ma coś z upalnego lata... taka cicha, czysta była w zaraniu i takim skwarem omdlewa w południe...

Więc jeżeli Henryk ma słuszność... jeżeli każda miłość, czy poezja, czy przyjaźnią czy

tylko brutalnem pożądaníem się okrywa, zmysły ma za istotę... to i skończy się zobojętníem gdy szal przeminie...

Więc gdzie szukać tej miłości, której pragnieniem oddycha jej dusza... tej nieskończonej, tej jedynej, na którąby czas nie działał. Tej miłości cichej, głębokiej... wolnej od wybuchów, gdzie? gdzie?...

— Och, piorun jeden... jedyny !...

— Januś, bój się Boga ! Zamiast się przebrać i położyć, siedzisz taka przemoczona — jest ci co dziecińo ?

— Nie, mamusiu... zaraz... zaraz się przebiorę i zejđę na dół... — poco miałabym się już kłaść, dopiero wpół do dziewiątej, a przytem zdenerwowała mnie ta burza, nie byłabym w stanie usnąć teraz... A leżeć tak i myśleć... myśleć... och, nie...

— Jak chcesz dziecińo... — czekaj, ja ci pomogę...

Pani Anna zabiera mokrą suknię Janki, ale z progu wraca się raz jeszcze. Jej siwemi włosami cokolona twarz ma wyraz zająpotania.

— Chciałabym cię o coś prosić Januś... czy... ty nie uważasz, że Henryk... pije?...

Jej dobre szare oczy zachodzą nagle łzami,

— Chciałam kiedyś wpłynąć na niego... Przecież każdy człowiek pracować musi... powinien... Ja przecież nie dlatego chcę, by szkoły skończył, że nam wydatków ubędzie... Przecież i ja i ojciec chętnie dzielimy się z wami wszystkim, ale my wieczni nie jesteśmy, a gdy zamkniemy oczy, to to, co zostanie nie zapewni Henrykowi nawet paru lat, a cóż potem? To tak serce boli, gdy człowiek pomyśli, że to dziecko... kochane, pieszczone, kiedyś będzie musiało z nędzą walczyć... Mówiłam mu to wszystko... i on... Ja go nie rozumiem Janko... — i pani Anna nagle wybucha łkaniem... — Ja was... obojga nie rozumiem...

Janka chyli się do niej...

— Nie płacz mamusiu... to dobrze... To dobrze... tak to dobrze... że nas nie rozumiesz... bo gdybyć rozumiała... toby twoje biedne, dobre serce nie zdołało pomieścić bólu... O mammo! mammo!

Złota głowa Janki tuli się do kolan matki.

— Nie płacz nad nami... nie pragnij zrozumieć — my sami siebie nie rozumiemy. Ale kochaj nas... kochaj... znajdź w tej miłości siłę przebaczenia... kochaj nas takimi, jakimi jesteś ty...

I pani Anna odnajduje jedyną drogę do tych nerwowych, przeczulonych, filozofujących dusz dzieci wieku... dobroci.

I postanawia w duszy — nie pytać więcej... nie wdzierać się przemocą do uporczywie zamykających się przed nią głębi — nie oburzać się i nie płakać... nie wołać do poprawy ani narzucać swej woli... czekać i kochać...

Jej szare oczy mają bezdeń dobroci, gdy patrzy nimi w ciemne prawie oczy Janki i powtarza z naciskiem:

— Jakiemikolwiek są wasze dusze... mojami dziećmi jesteście... i ja matką kochającą zawsze będę dla was...

— Zawsze mamom? zawsze? — urywanie rwie się z piersi Janki. — Nawet gdyby... świat nas potępił... odepchnął... nawet gdybyśmy bardzo winnymi... bardzo złemi byli?...

— Nawet... wtedy Janko... Dla mnie dziećmi tylko będziecie zawsze...

* * *

Gdy pani Anna z Janką zeszły na dół, stary Leszetycki i Henryk skracali sobie czas dysputą... A ponieważ Henryk korzystając z nieobecności matki kilka kieliszków domowej śliwo-

wicy troszkę za prędko wychylił — więc też i odwaga wypowiedzania bezwzględnie swoich myśli i przekonań wzmogła się w nim odpowiednio. Stary radca znów w milczeniu znoszący dotąd lenistwo i skłonność do alkoholów w Henryku, rozdrażniony krańcowością przekonań syna, tym pogardliwie litościwym tonem, który tak często teraz dzieci przybierają wobec rodziców, również ostro zaczął przemawiać... nie ważąc wyrazów, nie szczędząc prawdy. I kiedy pani Anna z Janką stanęły w progu jadalni, czerwony z gniewu radca rzucił synowi:

— Pasorzytem jesteś...

— Och, ojcu pewnie rozchodzi się o tę marną mamonę, którą mi posyłacie? To trudno, dzieci nie proszą o życie, a gdy się je im da, to się obowiązki dbania o nich przyjmuje.

— Ale rodzice nie żyją do nieskończoności, by się dać wyzyskiwać dzieciom. — Kto ci dostarczy na życie, gdy nas nie będzie?

Henryk ironicznie wzrusza ramionami.

— Tak daleko nie myślę...

— To pomyśl — i jeżeli nie dla nas, to dla samego siebie, zabierz się do pracy...

— POCO?

Niespokojnie, błagalnie szare oczy matki przenoszą się z męża na syna... Janka łagodnie otacza ramieniem szyję ojca...

— Nie gniewaj się na niego tatusiu, on ani gorszy, ani lepszy od rówieśników swoich nie jest... to taki prąd czasu... No, tatusiu! — to młodość ma zawsze swoje szaleństwa... I on opamięta się kiedyś i będzie...

— Ojcem rodziny — śmieje się Henryk — filistrem z fajką i w pantoflach, drżącym przed żoną, drzemiącym w biurze nad aktami, chodzącym w niedzielę do kościoła i chowającym dzieci... ulepszone wydanie niedołęgów...

— Henryku...

— Tatusiu, mój tatusiu, szkoda się z nim teraz zapuszczać w dysputy.

— Ale to boli Janko... boli patrzeć na takie zmarnowane dziecko... Człowiekby mu chciał pomóc... naprawić, co się da, a on za wszystkie dobre chęci... szyderstwem płaci. Przecież ja nie mogę z założonemi rękami patrzeć, jak taki warjat w przepaść leci... Ja mam prawo żądać od niego poprawy... bom mu życie dał, bom go ochraniał i chował...

Wesołe zawsze oczy radcy wilgotnieją nagle.

— Ja przecież jego dobra tylko chcę...

— Ja, niech mi ojciec wierzy, chcę też mego dobra — tylko omijamy się w przekonaniu, gdzie to dobro leży... Ojciec widzi je w nędznym bycie... w pracy... w tysiącu codziennych trosk, kłopotów... w marnowaniu się... w nakładaniu na swoje chęci przymusu — na swoje wolne porywy, kajdan dobrowolnej niewoli. I dlaczego? niech mi ojciec powie dlaczego? Żeby potem takie pasorzyty jak ja miały kogo wyzyskiwać? Dziękuję, wolę już to dobro, które ja widzę... dogadzanie wszystkim zmysłom, zaspakajanie wszelkich pragnień — wypicie jednym haustem tego życia, które inni piją po kropli. Ty mówisz, że ja się marnuję? A ty ojczyźnie nie myślisz, że szkoda było zapierać się swojego ja, pracować, odkładać... by się dochować takiego miłego syna?

— Nie cały trud mego życia poszedł na próżno — pieszczotliwie opada ręka radcy na złotą główkę Janki — dwoje was mam. Ten trud, tę pracę, którą ponieśliśmy chowając was, Janka odda swoim dzieciom.

Krwawy rumieniec pokrywa twarzyczkę Janki. Henryk się śmieje.

— Myśli ojciec?... Niech ojcu służy... Trudno kogoś przemocą z katarakty leczyć,

Pani Anna z Teklą nakrywają do już i tak spóźnionej kolacji, a drażniący zapach smażonej kiełbasy rozchodzi się po jadalni.

— No, mama już nastroiła ucztę pojednania, ojcu Jankę zostawiam na towarzyszkę.. ja sobie koło mamy usiądę... Doprawdy... mimo różnicy zdań byłoby mi z wami bardzo dobrze, gdybyście... mieli mniej kaznodziejskiego talentu... Ojciec skończył dobierania się do mego honoru i czegoś tam jeszcze, teraz pewno mama zacznie, co?

— Nie... ja wierzę, że w twojej duszy przecież lepiej wygląda, niżeli z twego gadania wnioskować można.

— Lepiej?

— A lepiej... może nie wiele, ale zawsze trochę lepiej... Tymczasem zostaw duszę w spokoju, a zabierz się do jedzenia — kiełbasa świeżutka z cebulką, jak lubisz — i pani Anna uśmiecha się żartobliwie, podsuwając synowi półmisek. — A pamiętaj, że u nas odwieczne przestarzałe formy panują i że się podczas jedzenia milczy... No tatuś, bierz i ty...

Radca nagle odnajduje dobry humor.

— Widzicie, jaka to podstępna niewiasta...

Ale gdy potem stare małżeństwo znajduje się w swojej sypialni... radca żali się na syna i pan

Anna długo, długo przekonuje... prosi... jak tylko matka prosić za dzieckiem potrafi.

* * *

Janka daremnie zasnąć pragnęła tej nocy...

To ją wspomnienie pocałunków kołysało tęsknotą.

To słowa ojca przychodziły jej na myśl; niezasłużona pochwała paliła wstydem... To wreszcie widziała dzieci swoje... i żal ją jakiś porwał ogromny, dławiący nad temi dziećmi...

To znowu myślała, czy gdyby wszystkie duchowe przymioty Bertiego tkwiły w cielesnej powłoce Leona, czyby była w stanie kochać to jego ja... I przeciwnie, gdyby dusza Leona ożywiła kształty Rodena, czy byłoby to dla jej miłości przeszkodą?...

I myślała o całym życiu swoim...

Z ramionami założonemi nad głową, wpatrzona w ciemność pokoju... Janka przechodziła myślą całe swoje życie od chwili opuszczenia domu... Dlaczego właściwie przestała wierzyć?... Jako dziewczynka tak serdecznie, tak gorąco modlić się umiała... czyż pięć lat to taki bezmiernie długi przeciąg czasu, że w niem nawet Boga zapomnieć można? Dlaczego? Dlatego,

że jej prośby zostały niespełnione, że jej modlitwy daremnie wznosiły się u ołtarzy... Prawda, raz... modliła się gorąco, prosiła wtedy o łaskę, o miłosierdzie, o uwolnienie... Och, do dziś pamięta, jak każdy nerw w niej drżał prośbą i zamiast wysłuchania... poczuła w sobie ruch nowego życia. I wtedy wydało jej się nagle, że nie ma pogo modlić się, kiedy prósb nikt nie słucha... Gorączkowo zaczęła zagłębiać się w dziełach Schopenhauera, Darwina, Haeckla, wchłaniała poprostu w siebie każdy z tych dowodów panowania rozumu... Renana czytała z zapalem... Nowa literatura — prąd czasu niósł jej obfity siew niewiary, wątpliwość w istnienie Boga... zmieniała się pod wpływem książki w pewność nieomal... Ale pustkę powstałą w duszy trzeba było czems wypełnić. — Człowiek musi mieć jakiś ołtarz i jeżeli nie Boga to bóstwo... i Janka w swojej duszy zbudowała ołtarz dla swego własnego wolnego ja...

I teraz myśli... myśli o matce... myśli czy ten ruch życia, który w czasie swojej prośby poczuła nie był właśnie dowodem Bożego miłosierdzia... w pustkę jej życia dawał cel... W pustkę serca miłość najpiękniejszą ze wszystkich i najtrwalszą... Dlaczego nie umiała zrozumieć tego wtedy? — dlaczego myśli, że to dziecko

jest dzieckiem Leona zagłuszało w niej wiedzę, że i jej należy ono również... Dlaczego dzisiaj budzą się w niej te myśli, by jej wybór utrudnić. Dlaczego? Dlaczego?

A sen nie przychodzi... ucieka od powiek znużonych... I noc się wlecze ilością godzin nieskończenie długich...

A jeżeli Bóg jest, są zatem i jego prawa... których przestąpienie grzechem jest...

A jeżeli Bóg jest... to miłość jej cała jest błędem, występkiem...

I w pamięci Janki budzą się dawne wspomnienia, nauki matki. — Te proste z serca do serca idące...

O dlaczego nie kierowała się niemi w życiu. I dlaczego dzisiaj zmartwychwstają w jej duszy i mówią jej o obowiązkach kobiety... chrześcijanki... Polki.

Błady świt wdarł się przez okno, gdy nareszcie Janka usnęła.

Ale — i sen był dalszym ciągiem rozmyślań.

Sniło się jej, że przez jakieś kwietne łąki szła z Bertiem taka szczęśliwa... I nagle skądś płacz dziecką doleciał cichy... żalospny... Janka czuła, że to jej dzieci za nią płaczą i całe

szczęście w jej duszy zgasło i tęsknota tylko została bezmierna, by te dzieci odnaleźć, przytulić.

Zbudziła się zmęczona i jeszcze bardziej zdeenerwowana, niżeli wczoraj... Przy śniadaniu przyniesiono pocztę i dla niej znów był list z domu tymczasem nie od Leona, drobne nierówne pismo miss Idyty zappełniło cztery strony listu.

Janka czyta gospodarskie sprawozdanie miss Idyty zakończone opowiadaniem o dzieciach.

„Dzieci bardzo tęsknią za Wielmożną Panią — szczególnie Tonek co rana pyta kiedy „mama“ wróci“.

I Jance serce ściska się takim bólem bezmiernym... kiedy mama wróci?... może nigdy...

A pani Anna uśmiecha się.

— Z domu?...

— Z domu... dzieci zdrowe, panna Edyta pisze, że... tęsknią za mną trochę.

— Mogłyby z Iwonicza tutaj przyjechać, napisałybyś o tem Leonowi Januś...

— Zobaczymy — jeszcze trzy tygodnie mają być w Iwoniczu. — Gdzie się wybierasz matusiu?

Pani Anna wypła śniadanie i przypina kapotkę.

— Ja, dziecko? O! do kościoła trochę, a potem pójde na rynek, dziś wtorek — targ.

— Zaczekaj matuś, pójde z tobą, dobrze? Ja zaraz będę gotowa.

— Ale ja Januś na całą mszę świętą się wybieram i nie dam sobie jej skrócić.

Chwileczkę Janka się waha, ale potem żywo niknie za drzwiami.

— Ja zaraz wrócę, matuś...

Kościół tonie w półmroku... cisza... pustka... Ludzie na targu zajęci materjalnymi potrzebami życia i pani Anna z córką są jedynymi w całej nawie kościelnej.

Pocziwy stary kościół... Janka pamięta ile razy bywała tu z matka, tylko inną była wtedy, lepszą? naiwniejszą może tylko...

Ostatni raz, gdy po przyjeździe swoim tutaj była z matką w kościele, obecność Bertiego zabierała jej całą uwagę — dzisiaj oczy jej błądzą po starych, dobrze znanych ścianach... po ołtarzach jaskrawo kwiatami strojnych. Wszędzie te same obrazy wychylają się ku niej ze złocenia ram... te naiwne nieudolne próby pędzli dyletantów... kopje, nędzne oryginały daremnie walczące z prawami techniki. Kościelny zapala świece u bocznego ołtarza i oczy Janki widzą nareszcie coś nowego, z ciemnego tła

wychyla się zjawisko: piękna głowa Madonny. Lekko pochylona zdaje się słuchać modlitewnego szeptu... wielkie, przedziwnie głębokie oczy zdają się patrzeć w mroki kościoła... Drżący blask świec ożywia grę światła twarz mającą w sobie nieuchwytny, nieziemski wdzięk.

Raz tylko odniosła Janka wrażenie czegoś równie zjawiskowego... było to przed obrazem Jankowskiego, zatytułowanym „Idzie”. Po falach idzie drobna, wątła postać dzieciny... a wyraz jej olbrzymich błękitnych oczu ma jakąś moc nadprzyrodzoną... wyraz tak prawdziwie Boski, że Jance nieraz potem przychodziły na myśl te smutne, gdzieś w głąb duszy patrzące oczy... Wokoło słyszała dużo krytyki... jedni kolorytowi morza, drudzy drobnej postaci zarzucali brak naturalności... brak estetyki... Janka nie mogła się od tego obrazu oderwać, zdawało jej się, że wątła postać naprawdę idzie i szczęśliwa dusza do której wejdzie... spokój, ciszę, szczęście zdało się nieść to Boże dziecko w fałdach swej szaty błękitnej.

Madonna w ubogim wiejskim kościółku miała ten sam nadziemski wyraz spojrzenia...

Srebrny głos dzwonka wpadł w ciszę — ks. Jundził wyszedł z mszą świętą... złotowłose chłopczyk niósł przed nim księgę.

W ciszy kościoła niski błagalny głos księdza i dźwięczny głosik chłopca wołały do Boga.

Z początku patrzała Janka — jak spokojny obserwator... zwolna... zwolna — zaczynała ją porywać jakąś hypnotyczną siłą wiara, jaką drżał głos księdza Jundziła. Janka czuła, że dla niego w tej chwili nie istnieje świat, ludzie — troski, radości... że jego dusza naprawdę rozmawia z Bogiem... Janka widzi jego nieregularny ostry profil, wpadnięte błyszczące oczy... oto teraz jego przejrzysta niemal ręka błogosławi kielich... W całej jego twarzy odbija się to skupienie ducha w jednej prośbie gorącej... I Janka się zdaje, że między tym księdzem rozmodlonym a pochyloną głową Madonny leży jakieś pasmo zrozumienia... jakaś symfonia natchnienia. I teraz Janka widzi ten brak szczęścia rozjaśniający rysy księdza... prośba jego wysłuchana i czuje, że dla niego w tej chwili nie wino i chleb... a naprawdę ciało i krew Boga spoczywa na ołtarzu. — O jakież głębokie dziękczynienie bije z jego głosu.

Dzwonek rozlega się w ciszy kościoła... i Janka mimowoli przyklęka... mimowoli zapałtrzona w promieniejące rysy księdza powtarza w duszy:

„Wiarę! wiarę! daj mi Boże...”

I równocześnie zdaje jej się, że zaświatowe oczy Madonny odpowiadają pytaniem... czy w tym okrzyku pragnienia nie czujesz odpowiedzi Boga?...

Janka w głębi duszy czuje jakąś ciszę, dawno nieznaną spokój... I dla niej giną mury kościoła, widzi tylko lekko schyloną, jakby w tragedję ludzkich istnień zasłuchaną głowę Madonny i kielich dotykający ust księdza... Pierwszy raz Janka nie prosi... nie woła o zmiłowanie... modlitwa, która teraz wypełnia jej duszę jest wzniesieniem ducha w jakieś nieznanne mistyczne sfery — jest cichem uwielbieniem... dla tego zapomnianego przez nią Boga... który o niej nie zapomniał.

I jak dziecko powtarza tylko ten jeden wyraz:

— Ojcze!

Ksiądz mszę świętą kończy... oto odwraca się od ołtarza, jego szczupła ręka krzyż kreśli w powietrzu.

— Pax...

I Jance się zdaje, że i do jej duszy spokój wpłynął ciszą bezmierną.

Jej wilgotne oczy z ołtarza zwracają się ku matce.

Pani Anna westchnieniem kończy modlitwę, po jej bladej twarzy łzy płyną, w wzniesionych oczach jest taki rozdzierająco rzewny, taki błagalny wyraz. I Janka czuje, że ta matka wołała współczucia, polecała opiece tej drugiej matki dusze swoich dzieci... Czyż wyprosiła jej modlitwa ten promień łaski, który rozświecił duszę Janki...

— Chodźmy, dziecko...

Jakiś bolesny skurcz ściąga serce Rolskiej gdy przestępuje próg kościoła... Czyż z tych jasnych sfer, które tak nagle poznała trzeba koniecznie wracać do codziennych trosk, do całej nędzy, całej prozy życia?

Do walk wiecznych?...

Pokus nowych...

Do nowych błędów może?...

— Pójdiesz ze mną na targ, Januś?

... Nie, mamusiu...

Janka czuje taką potrzebę ciszy... potrzebę zastanowienia nad sobą... nad życiem przyszłym... nad wszystkim...

— Pójdę trochę nad staw mamusiu...

Tak cicho...

Tak się czółno wdzięcznie kołysze.

Tak po wczorajszej burzy cały świat odżył.

Słońce świeci...

Gruchanie dzikich gołębi dobiega z lasu, Srebrzyste fale stawu kołyszą się... szumią...

A Janka walczy ostatnią walkę miłości z obowiązkiem...

I cierpi... fizycznie niemal...

Ostatnim wysiłkiem woła natura...

Kochaj...

Dlaczego masz swoje ziemskie szczęście dla jakiegoś fantomu rzucać w ofierze...

Och... jaką siłą wspomnienie wczorajszej pieśzcoty wraca...

Jak serce mocniej uderza... żywiej pulsują tętna... jaką słodką niemocą kładzie się wspomnienie rozkoszy na całej jej istocie...

Jak chęć nowych pieśzcot budzi... tęsknotą, pragnieniem.

I jak wizja, wraca jej dzisiejsza modlitwa, wspomnieniem...

Bóg woła... i obiecuje po ciężkiej drodze ciższą spoczynku... całą wieczność szczęścia...

Ale ta droga do Niego tak ciężka... taka ofiarna... bolesna...

A tam człowiek rozkochany roztworzył ramiona i woła:

Pójdź, dam ci szal upojenia! rozkosz... życie krótkie, wyzyskać je trzeba...

A natura w koło zdaje się dzielić pragnienia
człowieka...

To się nad wodą ważki złączone chyboczą...

To kwiaty lgną kielichami...

To gołębi dzikich, namiętne dolatuje gru-
chanie...

Potęga życia... upojeniem oddycha...

Ściłą się kwiatów wonie osłabiającym wolę
zapachem...

Chylą się trawy... poddają drzewa słonecznej
pieszczocie...

Natura w koło... kocha...

I wolno kwiatu do kwiatów się tulić...

Wolno ważce zmieniać towarzysza.

I gołąb dziki może gruchać do gołębic
kilku...

One mają tylko jedno życie, więc wykorzy-
stać je mogą do woli... Przeznaczeniem jej roz-
mnażać się i ginąć...

A ludzi?

Ta cała natura w koło bezmyślnie spełnia
swoje obowiązki...

Bóg tak zarządził... więc kwitną wiosną kwia-
ty... sypią się pyły w miesięczne jasne noce
i ptaki gniazda ściłą...

Latem owoc obciąża drzewa... łono ziemi,

pożywienie dla ludzi, ptaków, zwierząt z macierzyńską wydziela hojnością...

Jesienią... obowiązek spełniony... do słodkiego wypoczynku układa się wszystko...

A człowiek?

On jeden otrzymał duszę... wolę...

I on jeden przeciwstawiać usiłuje swoją wolę, woli Bożej...

Niepomny losu tego najpiękniejszego z Bożych aniołów, który zapragnął swoją siłę z siłą Boga zmierzyć... i stał się... upadłym aniołem... tylko.

Bogu danego przyrzeczenia złamać nie wolno... przyjętych raz obowiązków nie można porzucić.

Ptaki nie odlatują z gniazd, dopóki swoich ojcowsko-macierzyńskich obowiązków nie ukończą... Nie łączą się w świeże pary i nie rzucają piskląt niedołączonych... One bezmyślne umieją pokonać popęd natury jak długo ich dzieci opieki wymagają od nich...

A człowiek?

I Janka w otaczającej ją naturze tysiące tkliwych przykładów tej macierzyńskiej miłości widzi...

I taki ją ogarnia wstyd...

Ta muszka złota, co trawę lekkim muska skrzydłem, pod korę drzewną składa nasiona

przyszłych pokoleń i tak troskliwie zaopatruje ich potrzeby na przyszłość... ona, która wie, że zginie nim jej dzieci poczwarkami się staną...

A ona matka-człowiek rzuciła dzieci swoje... obowiązki, dla miłości...

I ma odwagę wołać do Boga.

— Ojczy !...

Ona — która opuściła dzieci... dusze powierzone jej opiece... by szukać samolubnie szczęścia dla samej siebie...

Długo, długo jeszcze wahała się jej dusza między miłością kobiety i matki... między głosem Boga i własnej woli.

Aż wreszcie podniosła się z westchnieniem.

— Wróć do dzieci... do obowiązków... na drogę prowadzącą do Ciebie... mój Boże...

Ale zanadto świeżym jest w niej ból rozłąki z całym światem marzeń kochanych, by mogła czuć słodycz ofiary...

I zanadto wiele wątpliwości posiada jej dusza, by mogła tak nagle uznać dotychczasową drogę za błędną.

I gdy teraz z cieniów lasu wychodzi Berti... serce Janki przejmują lęk niewymowny..

I gdy gorące jego ręce ujmują jej dłonie, a kochany, łagodny głos mówi :

— Jedyna... dziś mam dla ciebie dobrą nowinę... jedno z moich podań o cywilną posadę będzie, jak mi donoszą, załatwione przychylnie. Malutko będziemy mieć, ale dosyć dla nas obojga, prawda?...

Janka przez chwilę jest znowu kobietą tylko... kochającą do szaleństwa, do zapomnienia... do upadku... i nie ma siły mówić o swoim postanowieniu... Głowa jej spada na jego ramię... jak haszyszem upaja się jego słowami...

I Berti mówi o szczęściu, o miłości, o ogniazd-ku własnem... o jednej pieśni słonecznej dwóch dusz szczęśliwych...

I Janka rzuca jak w półśnie :

— Mów jeszcze...

— Ale teraz Januś koniecznie musisz powiedzieć rodzicom... mnie ta fałszywa sytuacja już tak dawno boli...

— O... Berti... ja... ja... — jest coś dzikiego w łkaniu z jakim Janka tuli swoją głowę do piersi ukochanego.

— Co tobie... Janko?...

I Janka wśród łez opowiada mu całą swoją dzisiejszą walkę... całe swoje poznanie Boga... i obowiązków... i cały ból, jaki jej sprawia ta ofiara...

— Z twoją miłością odejdzie z mego życia wszystko jasne! wszystko szczęśliwe... O Berti! Berti!

— Moja biedna... biedna Janko... A z mego? — łagodnie jego dłonie podnoszą jej twarzyczkę — tę biedną, łzami zalaną. — A z mego Janko?,-.

— A przecież... Berti ja nie mogę iść za tobą... nie mogę... Ani tobie, ani sobie nie dałabym szczęścia... z gruzów jednego gniazda nie można budować drugiego... Wiem to teraz... czuję... błędziliśmy...

— Oby ci spełnienie obowiązków twoich dało., przynajmniej spokój... Ty moje... biedne... biedne kochanie...

— Pocałuj mnie Berti raz jeszcze... ostatni raz... o mój Boże! mój Boże!... jacyśmy biedni!...

Usta Bertiego dotykają jej drżących od płaczu usteczek... i przylegają do nich długo... gorąco...

— Janko!

Krzyk bolesny... wraca ich do rzeczywistości. Ramiona Bertiego opadają... Janka blada jak płótno szeroko rozwartymi oczyma patrzy w twarz ojca. Stary radca wracał z połowu ryb... w ręku ma torbę z rzucającymi się karpikami,

wędkę przez ramię... jego twarz krwią nabiegła, drżące usta mają coś tragicznego w sobie. Berti pierwszy przerywa milczenie, jego głos ma ten ostry ton hamowanego wzruszenia.

— Pan radca... pozwoli... że...

— Precz chłopcze... — z trudem wyrywa się głos z piersi radcy... bezmiar nienawiści patrzy z szarych, zwykle pogodnych oczu w twarz Bertiego... — Precz chłopcze... tu niema usprawiedliwienia... moja córka mężatką jest, matką i.. pan wiedziałeś o tem.

— Panie radco...

— Po... podle... podle... rozumiesz...

Wszystka krew zbiega się do serca Bertiego, mimowoli prostuje wysoką postać... jego oczy płoną ponuro...

— Potępiać... bez wystuchania..

— Milcz pan teraz... ja jestem głową rodziny... ja odpowiadam za cześć mojej córki, dopóki jest pod moim dachem, i ja sobie hańby na siwe włosy ściągać nie pozwolę... bezkarnie...

— Tatusiu... wierz mi, nie było żadnej winy... Tatusiu, myśmy się żegnali na zawsze... na zawsze...

Janka osuwa się na kolana... niecierpliwym ruchem ręce radcy odsuwają jej wyciągnięte

ramiona... jego głos ma nielitościwie zimny dźwięk.

— Chodź do domu, z panem panie von Roden zobaczymy się jeszcze.

Machinalnie Berti odrzuca:

— Jestem na pańskie rozkazy, radco...

W milczeniu zdąża ku domowi ojciec i córka. Janka nie wie, co mówić — radca milczy, aż wreszcie przed samym niemal domem rzuca:

— O Janko... jak ty mogłaś się tak zapomnieć... jak mogłaś na moją starą głowę taką hańbę ściągnąć...

— Ojczy... w czym ty tę hańbę widzisz... kochałam i wyrzekłam się tej mojej miłości... ten pocałunek był naszym ostatnim...

— Pierwszym?...

Janka milczy... bladą jej twarzyczkę rozpala łuna runieńca... gdy powtarza wreszcie...

— Ostatnim...

— I ty tego nie nazywasz hańbą!... ty żona, matka, rzucająca się jak... ostatnia...

— Ojczy!...

— I to są moje dzieci?... moja duma?... moje szczęście?... pijak i... grzesznica!...

— Ojczy...

— Cicho... ojcem ci jestem, wiem o tem i dlatego ten twój gach odpowie mi za to... krwią...

- Ojcie... przez Boga...
- Cicho... jesteśmy w domu.
- Ojcie ty... ojcie... Jezus Marja l... Ojcie, co ty chcesz uczynić... co?...
- Honoru mojego dziecka... mego domu bronić...
- Ojcie wysłuchaj... zrozum...
- Myśmy się dawno przestali rozumieć...
- Ojcie, przez miłość Boga...
- I ty mówisz o Bogu... ty?...
- Ojcie, jak.. dzieci moje kocham, ja ani on nie zawiniliśmy niczem...
- Biedne dzieci, które taką matkę mają...
Idź do domu...
- A ty ojcie?...
- Idź do domu...
- Kurczowo ręce pani Janki czepiają się rąk radcy...
- A ty ojcie?...
- Powiedziałem, idź do domu... — ja przyjdę niedługo...
- Ojcie... przez miłość twoją dla mnie...
- Ja... nie mam córki...
- Ojcie l...
- Idź do domu... nie odbieraj mi tej reszty panowania nad sobą, którą mam jeszcze...
- I Janka idzie...

Pani Annie robota z ręki wypadła na widok bladej, spłakanej twarzy corki — Henryk się zerwał z krzesła.

— Co się stało?...

— O mamó! mamó! — do kolan pani Anny tuli Janka swoją złotą głowę, szybko opowiada wszystko, wszystko... Miłość swoją, marzenia..., projekt rozejścia się z Leonem i to wahanie, które się w niej zbudziło tutaj — i dzisiaj tragedję całą... wszystko... Pani Anna słucha... cała ta burzliwa walka jej dziecka... między miłością i obowiązkiem przejmuję ją smutkiem bezmiernym...

— A ojciec... ojciec słuchać usprawiedliwień żadnych nie chce... Mamó, czy to grzechem kochać? Myśmy chcieli starać się o separację i wziąć potem ślub cywilny. Berti był rodzajem narzeczonego...

— Moje ty biedne dziecko, ja cię nie rozumiem. Jak może matka, żona, stosunek taki uważać za coś legalnego prawie? Ale tu nie czas rozmyślać nad tem, co minęło... stało się i nie odstanie. Zapobiec trzeba czemuś gorszemu. Nie płacz Janko, moje wy biedne dzieci, moje wy biedne, co nas jeszcze czeka, co was czeka? Jak myślisz Janko, co ojciec chce zrobić...

Beznadziejnie wyrywa się z piersi Janki odpowiedź:

— Wyzwać Bertiego...

Chwileczka ciszy, oczy pani Anny zawisły na obrazie Chrystusa nad drzwiami i wołać się zdają:

— W Tobie nadzieja, Ty ratuj...

Janka przytulona do kolan matki płacze jak bezradne, małe dziecko.

Henryk nerwowo po pokoju chodzi, żal mu Janki, żal mu starych i w głębi duszy budzi mu się przekonanie, że on do tego dopuścić nie powinien. Jeżeli te stare pojęcia honoru wymagają ofiary z krwi, och to... to jego obowiązkiem zastąpić starego ojca, być mu raz synem naprawdę...

Życie...

Co mu na życiu zależy.

Co go do niego wiąże?

Nic...

Krótki i smutny rachunek, ale prawdziwy...

— Słuchaj mamó, pojedę poszukać ojca, wytłumaczyć mu o ile potrafię, a jak nie potrafię, to... go zastąpić...

— Moje dziecko... — taki czysty promień

bije ku niemu z oczu matki i Henryk raz czuje, że teraz zasłużył sobie na tę miłość.

* * *

Berti został nad stawem w nadziei, że Leszetycki powróci. Berti nieraz potępiał pojedynek jako niedorzeczność... dziś jednak stare prawa honoru zaszczipione ręką ojca, długoletnią służbą wojskową, nie pozwalają mu szukać innego wyjścia.

Winien zadośćuczynienia i da je...

Miłość Janki zapłaci życiem, bo że siwa głowa radcy zostanie nienaruszoną, o tem wie. Przecież to ojciec Janki...

A potem to co mu w oczach jego i Janki było czystem i pięknem, w oczach świata jest upadkiem, występkiem winą. A zresztą czy to ich uczucie było tak naprawdę od winy wolne, czy sama Janka nie wołała przed chwilą „zblądziliśmy“.

Te pocałunki były dobrem kradzionem...

Miłość... występkiem.

Jaki piękny sen...

I tak szybko się skończył...

Dlaczego nie dał im los tej łaski przynajmniej, by się rozeszli spokojnie...

Dlaczego biedny, stary radca musiał być świadkiem ich pieśczoły ostatniej.

Czy naprawdę jest Bóg, który karze występki i grzeszyć nie pozwala bezkarnie.

Biedna Janka...

Tak mu jej żal, ile jeszcze łez, bólu, cierpienia ją czeka na tej drodze życiowej.

Miłość do dzieci spłynie balsamem na jej duszę rozdartą, wiara w Boga dopomoże do wytrwania, on... jego miłość garąca zostanie dla niej wspomnieniem...

Z czasem wspomnienie zblednie i tylko o szarej godzinie wróci jej fala tęsknoty za nim. Żeby to wspomnienie wolnem było od bólu, od goryczy — to cały cel miłości Bertiego.

Rodzice...

Stary bohater z pod Magenty — pojęcie honorowe ceni nad wszystko.

Krew zmywa wszystkie winy...

Matka zapłacze, biedna matka, drugi syn tak nagle odejdzie z jej ramion...

Jakieś czyste, rzewne uczucie przejmuję serce Bertiego.

A on sam?...

Dla niego może tak jak jest... najlepiej. A mimo wszystko trudno w pełni sił zdrowia

powiedzieć światu... vale... Jest coś przeciwnego naturze w takim końcu...

Berti ukrywa twarz w dłoniach.

Życ!

Poco? Czyż ci choć jeden promień został w tem życiu...

Miłość, szczęście odeszło, wieczna niewola została, cieszyć się powinienes wyzwoleniem...

A młoda natura nie słucha bólu serca, przedstawień rozumu... za młoda jest, za silna, za zdrowa, by mogła śmierci pragnąć.

Życ chce...

Ale zdobywać to życie za cenę życia innych? bólem kobiety kochanej?...

Nie...

— Panie von Roden...

Berti podnosi się żywo... prostuje mimowiednie, zamiast radcy ma przed sobą Henryka... Ta satyryczna twarz sprawia mu ból niemal swoją obecnością. — Chłodno... sztywnie, formalnie drwiący głos Bertiego.

— Pańskie życzenie... panie Leszetycki?

— Ojciec mój przezemnie żąda wyjaśnienia od pana, poruczniku von Roden...

I równie chłodno, ostro brzmi odpowiedź:

— Ojcu pańskiemu dam je — jeżeli zechce wysłuchać mnie osobiście... panu nie...

— Wogóle możemy wstęp porzucić — uśmiecha się ironicznie Henryk. — Obydwaj wiemy do jakiego celu nasza droga prowadzi... możemy ją skrócić... — Chwileczka ciszy i znowu spokojny, ironiczny głos Henryka. — Ojciec za stary jest, by służył za cel dla pistoletowej kuli — ja więc jestem pańskim przeciwnikiem. Ponieważ nie chciałbym, by sprawa ta... została przez ludzi łączona z nazwiskiem mojej siostry... a i pan prawdopodobnie masz to samo życzenie?

— Zupełnie...

— Zechciej więc popołudniu znaleźć się w sklepie śniadankowym Michałkowskiego... gdzie sprowokujemy się wzajemnie... Tymczasem zmuszę do grania komedji... liczę na... pańskie poczucie honoru, panie von Roden... O piątej zatem...

Milczący... chłodny ukłon z stron obu...

Henryk wraca zadowolony, że ubiegł ojca, Rodena nigdy nie lubił i cieszy się niemal na całą awanturę...

O kilkadziesiąt kroków od stawu spotyka ojca. — Radca byłby już wcześniej znalazł się nad stawem, gdyby nie to, że w połowie drogi przypomniał sobie, że z wędką przez ramię i karpikami w ręce nie nadawałby się do sy-

tuacji... wrócił więc, by w najbliższym domu zostawić na przechowanie te zbyteczne rzeczy.

Henryk ujmuje jego ramię.

— Słuchajże ojcze — myślę, że tak, jak zrobiłem... jest stanowczo najlepszem załatwieniem całej sprawy.

Żywo opowiada Henryk swój pomysł i zgodę Rodena... Tym sposobem i honorowi stanie się zadość i imię Janki nie będzie mieć z całą tą historją nic do czynienia. Radca mimowoli musi przyznać, że Henryk ma słuszność.

— A że ja cię zastąpię to przecież całkiem naturalne...

— Mój synu... -- głos starego drży wzruszeniem.

— Tylko nie myśl tato, że to jakaś ofiara z mojej strony... cała ta awantura sprawia mi jakąś... złośliwą radość... Nie cierpię wojskowych...

* * *

Sklepik Michałkowskiego z pokojem śniadankowym obok około piątej wypełnia się zwykle inteligencją miasteczka. — I dzisiaj jak zawsze starzy obywatele... pan sędzia, pan naczelnik, i kilku młodych na wakacje przybyłych akade-

mików, wypełniało szczelnie niemal pokój, za sklepem. Henryk był tu gościem dość częstym młodość łączyła z nim wspólność zapatrywań... starzy tych nowych prądów, dysput namiętnych słuchali ciekawie i wzruszali ramionami...

Młody Leszetycki i dzisiaj zajął swój zwykły kąt, ale mimowoli uwagę jego zabierały dziś drzwi wchodowe i był nieco małomównym z tego powodu.

Punkt o piątej drzwi te otwały się i wysoka postać Rodena stanęła w progu. Nie bywał tutaj nigdy dotąd i jego zjawienie się wywołało rodzaj sensacji. Starzy ciekawie... młodzi niechętnie odpowiedzieli na niedbały ukłon Rodena.

W zachowaniu się Bertiego leżała dzisiaj ta arogancka bezwzględność, jaka zwykle odznacza wojskowych w zetknięciu z cywilami.

Berti był dzisiaj prawdziwie typowym porucznikiem.

Może dlatego, że tę pozorną arogancję usiłował zakryć niepokój oczekiwania... Czekać na obrazę nie należy do rzeczy przyjemnych.

— A... Berti... — ręka Henryka wyciąga się przez stół... przez chwilę dłonie ich spotykają się w uścisku a oczy w spojrzeniu... twarz, ironiczne oczy Henryka z pod zaczerwienionych

niecو powiek patrzą tak nielitościwie, że Berti wie, że od tego przeciwnika żadnej uprzejmości... żadnego współczucia czekać nie należy...

— Zróbcież panowie miejsce jednemu przedstawicielowi naszej... kochanej armji...

Akademicy rozsuwają stołki w milczeniu i Henryk załatwia formalności wzajemnego przedstawiania.

Rozmowa prowadzona przedtem żywo, urywa się co chwila. Berti czuje, że to jego obecność jest tym obcym elementem, krępującym swobodę.

Nad swoim kieliszkiem wina czeka w milczeniu, pozostawiając przeciwnikowi cały plan działania... z jego strony dosyć, że przyszedł. Henryk nie próżnuje. Lekko, zręcznie kieruje rozmowę na zapatrywania polityczne, z tego na wojskowość...

Młodzież daje się porwać, wywiązuje się żywa dysputa, padają słowa, zapytania, które zaczynają wyprowadzać Bertiego z jego cierpliwej maski.

Sam wprawdzie przyznaje, że wojsko w czasie pokoju, to duża armja bawiących się w żołnierzy ludzi, ale jego własne przekonania wypowiedziane przez usta innych, — drażnią go mimowoli.

Takie już usposobienie człowieka, prawdę mówimy chętnie, ale boli nas, gdy ją słyszymy.

— A ta wstrętna zarozumiałość cechująca panów wojskowych — wtrąca jeden z akademików — znacie panowie od prawdy niedaleką dykteryjkę: Najpierw cesarz... potem generalicja — pułkownik, major, pan ober i pan lieutenant — pan feldfebel — zugsführer — kapral.., potem cisarski kuń, potem ty, rekruckie ucho... bera, szufera a o sto kroków ciwil...

Śmiech — taki obrażający — prowokujący — do twarzy Bertiego uderza rumieniec — mimowiednym ruchem ręka dotyka szabli...

— Święte życie mają panowie wojskowi... rodzaj wiecznych wakacji...

— A jednak tak niechętnie odbywają panowie rok tych wakacyj...

— Och, to co innego, poruczniku... życie je-dnoroczniaka lub prostego żołnierza, to nawet bardzo ciężkie...

— Psia służba — kończy Henryk — inteligencja nie znaczy nic, byle kapral może rozkazywać i słuchać trzeba. Każde nmundurowane zero duchowe ma prawo pastwić się nad inteligentnikiem i dawać mu odczuć swoją chwilową fizyczną przewagę — brutalnie, bezwzględnie.

— Wątpię, czy wiesz o tem z doświadczenia — spojrzenie Bertiego z bezmiarem lekceważenia przesuwa się po twarzy Henryka, na jego wąskie ramiona, zapadłą pierś.

I Henryk wypada z roli spokojnego prowokatora.

— Bez osobistych docinków poruczniku! Zawsze lepsze niedołęstwo muskułów, niżeli...

— Henryk urywa.

— Dokończ pan, panie Leszetycki...

— Ducha... — kończy Henryk... jego szare oczy wyzywająco patrzą w ciemne błyszczące Rodena — ostro pada odpowiedź... w ogólną naprężoną ciszę.

— Najsmutniejsze, gdy się te dwa niedołęstwa połączą w jednej osobie...

— Jest coś w pochylonej jak do skoku postaci Henryka, co przypomina dzikiego kota gdy odrzuca.

— Proszę się wytłumaczyć...

— Och... pozostawiam zrozumienie moich słów panu... Są one mojem osobistem przekonaniem jak i pańskie poprzednie tworzą pańskie... zdanie... zapewne...

— Bo zerem, umundurowanem zerem jesteś się — wybucha Henryk — lalkami, których

błyszczące mundury stanowią całą wartość...
gonienie za awanturami jedyne zajęcie...

Jednym ruchem prostuje się wysoka postać Bertiego — nerwowo zaciskają palce na głowicy szabli — ochryple rwie głos z piersi wzburzonej. Jest w nim ostry ton komendy i mimo woli teraz w chwili szalonego wzburzenia Berti posługuje się ojczystym językiem:

— Schweig Bube... oder...

Zmięta drżącymi palcami Henryka gazeta przelatuje w odpowiedzi tuż koło policzka Rodena — szabla do połowy opuszcza pochwę... Patrzącym zdaje się przez chwilę, że rzuci się na Henryka.

Chwila tylko... wysiłek woli opanowuje wzburzenie... w głuchą ciszę padają słowa:

— Obrazę taką... krew tylko zmywa.

— Jestem gotowy dać ci — satysfakcję, poruczniku.

Chłodny — krótki, lekceważący ukłon z stron obu i Bert wychodzi...

Komedja?

Nie... komedja prawdą się stała... obaj wypadli z przeciętnej roli — posunęli się za daleko i jednako nienawiść zbudziła się im w duszach głuszac wszystko inne...

Idąc na to spotkanie szli by dać sobie pretekst do walki... w której obaj chcieli oszczędzić przeciwnika — nie żałować siebie.

Teraz osobista niechęć cofnęła właściwy powód na plan drugi — i zrobiła z nich prawdziwych wrogów...

Nikt też ze świadków zajścia nie przypuszczał, że obok tego, który widzieli, mógł być jeszcze inny powód.

* * *

Wychylony przez okno Berti chłonie ciszę cudnej, gwiaździstej nocy, odurzający zapach kwiatów.

W miasteczku ostatnie światła dawno pogasły... śpi świat.

Czasem tylko nietoperz bezszelestnym skrzydłem wionie.

Cisza spoczynku...

Czy jutro... spoczynek nie zamieni się w ciszę śmierci... dla niego?

A co poza nią?... Czy można tak naraz przestać myśleć... kochać... przestać żyć?...

Potem, ludzie... śpią... bez ruchu leżą ciała, a dusze... po dziwnych... niedosiężnych błędzą krainach,

Czem jest sen?

Czem śmierć?

Jestże sen dowodem, że dusza bez ciała żyje swoim odrębnym życiem?...

Berti myślą przebiega raz jeszcze swoją przeszłość... marne życie... tęsknotą czynu wypełnione usta... jedynie...

Dlaczego nie dano mu pola do rozwinięcia tych pragnień?...

Dlaczego spętano rwące się do lotu skrzydła kajdanami takiej szarej... takiej smutnej doli?..

Dlaczego?...

Jak to powietrze pachnie... jaka cisza... Dusza Bertiego nagle odczuwa jakąś radość bezbrzeżną... Coś nieokreślonego przyspiesza uderzenia serca... oczekiwanie szczęścia...

A rozum sztydzi...

Cóż cię spotkać może takiego dobrego? — na co się tak cieszy dusza... na śmierć?... Nie... Na życie?... także nie?... na co?...

Nie wie, ale jest mu tak niewypowiedzianie dobrze... jakby jakieś wielkie.. gorące pragnienie jego życia miało się urzeczywistnić... Jakie?... kiedy?... jak?... o tem przecucie milczy...

Dobrze mu... tak dobrze jak człowiekowi, który po ciężkiej drodze nagle cel swej wędrówki ujrzy przed sobą...

Jaka ta noc dziwnie piękna...

I nagle uwagę Bertiego przykuwa jakiś niepewny, migotliwy blask w stronie kościoła...

Kto tak późno pali ognisko ?

Ale niepewny blask przybiera nagle ton purpurowy i strzela lekkim słupem ognia ku niebu.

Pali się!...

I Berti wie, że to sposobność czynu woła do niego tym słupem ognistym. Jednym skokiem znajduje się na ulicy i pędzi w stronę miasteczka, ale oto już i stróż nocny trąbi... ponure tony wpadają w ciszę...

Wszędzie błyskają światła... przerażone wpół ubrane postacie napełniają wąskie uliczki. Płacz kobiet... lament... nawoływanie...

— Jezus Marja, ratuj... pół miasta pójdzie.

— Przy takiej suszy...

— Dachy słomiane...

Wszystko to obija się tylko o uszy Bertiego.

Płonie chałupa tuż obok kościoła... gęsty dym wydziera się z małych okienek kłębamii... płomień z szaloną szybkością ogarnia gorącym łata wysuszone ściany drewniane...

W około ludzie krzyczą, płaczą, o ratunku nikt nie myśli...

I silny, ostry do komendy przyzwyczajony głos Bertiego oddziaływa na bezradnie stoją-

cych mężczyzn... jak trąbka do ataku... I Berti czuje całą rozkosz czynu — prowadzi raz pierwszy w życiu do walki o życie, o dobro ludzi. Przykład porywa — wysoka, kształtna sylwetka ukazująca się w miejscach najbardziej zagrożonych, dzwięczny rozkazujący głos... zachęca do pracy... Oto i sikawki nadjechały... Woda strumieniami pada w ogień... — cofa się płomień na chwilę i z podwójną wybuchą siłą.

I nagle krzyk się rwie rozpaczny, straszny, nieludzki...

— Jezus Marja... dziecko moje! moje niemowlę!

Myśląc o własnym życiu, zaspana, przerażona kobieta zapomniała o dziecku w kolebce, a teraz roztrąca tłum przed sobą, straszna z obłąkanem spojrzeniem gotowa rzucić się w płomień za dzieckiem...

Wstrzymują ją przemocą, ale nikt nie ma odwagi wtargnąć w głąb płonącego domu...

Berti stojący na sąsiednim dachu zauważył scenę w dole.

— Co się stało?

Głucho odrzucają mu głosy:

— Jej dziecko zostało w chacie.

Berti spojrzeniem obejmuje płonący dom, dach zapadnie się lada chwila. Ważyć się w to

piekło, szaleństwem... Jutro czy dziś położyć życie, czyż nie wszystko jedno?

A przytem jego dusza czuje taką radość z czynu, taki szal ofiarny.

Szybko zbiega po drabinie. Tam czyn woła z tego morza ognia, dymu, z tego piekła.

Jeden skok i wysoka postać niknie w dymie...
Krwawo rozbłysły szamerowania munduru.

I ksiądz Jundził chciał pośpieszyć na ratunek dziecka. Roden go ubiegł.

W tłumie cisza...

Tylko syk ognia słycać.

Tylko trzask belek płonących.

Chwila naprężonego oczekiwania.

Serca ustały bić na sekundę.

Oczy wszystkich na tych płonących drzwiach, z za których dym kłębamii wybucha, wiszą spojrzaniem.

I gdy nareszcie ukazuje się w nich postać porucznika z dzieckiem na ręku, tłum oddycha.

Krzyk matki dzikiego jakiegoś szczęścia pełny rwie się...

Gdzieniegdzie łkanie słycać.

Oświecona blaskiem pożaru twarz porucznika uśmiecha się. Ostatnim wysiłkiem rzuca dziecko księdzu, ale sam nie ma siły potrzebnej do

przebycia tego progu dzielącego go od życia i pada głową w tył... w płomienie.

Nieludzki krzyk rwie się z piersi tłumu. Henryk rzuca się naprzód — dzieło jednej sekundy — i wynosi Rodena.

Strumień wody oblewa ich od stóp do głowy. Za nimi dach się zapadł z trzaskiem i płomień szaleje.

Henryk sam nie wie, skąd ta szalona odwaga zerwała mu się w duszy, skąd ta siła. Bezwładna postać Rodena ciąży mu w ramionach, składa go na murawie tak ostrożnie, jak matka dziecko. Porwał go ten przeciwnik i zwyciężył bez walki.

Naprężona cisza panuje dokoła. Doktor przyklęknął na murawie, żywo usuwają wprawne ręce strzępy munduru i bielizny.

Straszliwie poparzone ciało młodego porucznika leży bezwładnie.

Wpół przymknięte oczy zdają się gdzieś w dal patrzeć, ledwie dostrzegalny uśmiech leży na ustach. Malutka rana na skroni z zastygłą kroplą krwi, dość dużą była, by przez nią uleciała dusza.

Daremnie doktor szuka życia, daremnie stosuje wszelkie środki ratunku, ciało pozostaje bezwładnem.

— Jak jest z nim, doktorze? — niespokojnie ksiądz Jundził chyli się nad Rodenem.

W milczeniu doktor na ranę na skroni wskazuje i dorzuca po chwili:

— Padając, uderzył o coś głową nieszczęśliwie... nie żyje...

Nie żyje... leci szeptem, wśród tłumu mimowoli odkrywają się głowy, wszak ratując ich mienie, ratując życie, zginął.

I gdy potem akademicy i Henryk niosą mary z ciałem Rodena, niema oczu, którychby nie wilżyły łzy. Ten obcy — nagle kochanym się stał i drogim.

* * *

Ksiądz Jundził stoi w jadalnym pokoju dworku pułkownika. Para staruszków spała tak dobrze... dworek tak za miastem leżał, że nie wiedzieli o ogniu i ta wizyta księdza o drugiej w nocy zastała ich nieprzygotowanych zupełnie. Co się mogło stać? — myśli pułkownik ubierając się szybko. Pani Rodenowa jest tak dziwnie wzruszoną, tak jej wszystko z rąk wypada, że ubrać się nie może.

Małą jadalnię ponuro oświeca świeczka zostawiona przez służbę, wysoka postać księdza

odcina się czarną, ostrą sylwetką. Pułkownikowi głos drży.

— Czemu zawdzięczam przyście księdza?

Smutne spojrzenie, które pada z czarnych oczu księdza Jundzila, wrywa okrzyk przerażenia z piersi pułkownika.

— Co się stało?

— Panie pułkowniku...

— Co się stało... bez wstępów... żołnierzem jestem... — prostuje się postać starca, w duszy lęk ma jeden... przypomina mu się noc podobna, gdy telegram o śmierci Rudolfa przyszedł... ale Berti... Berti przecież w domu...

— Ogień wybuchł w miasteczku, byłoby może spłonęło doszczętnie... syn pański energiczniem prowadzeniem akcji ratunkowej uratował je... Ratując dziecko z płonącej chaty — ksiądz urywa mimowoli, by dokończyć zdławionym od wzruszenia głosem — padł jak żołnierz na stanowisku, w walce o dobro ludzkie...

— Mój... syn?... — ręka pułkownika podnosi się ku oczu.

— Skończył jak bohater, pułkowniku...

— Mój... ostatni... syn... — głuche łkanie. krótkie, urwane.

— Trzebaby uprzedzić matkę.



— A, prawda, biedna ona, nasze dziecko jedyne... Proszę, niech ksiądz spocznie. Stary już jestem i kochałem go.

Pani Teresa wchodzi, jej blada, okrągła twarz w rozburzonych siwych włosach jest pełna trwogi. I jej przyszedł na myśl Rudolf i ona — ach, przypomniały się jej słowa Bertiego — mam więc ja iść w ślady Rudolfa mamó?... Och tylko to nie. tylko to nie...

W milczeniu pułkownik przyciska ją do siebie, jego siwa głowa przytula się do jej głowy.

— Nasz Berti? — rwie się lękiem z piersi kobiety.

— Nie żyje... Berti nie żyje... ratując dziecko z ognia, zginął...

Przez chwilę dwoje tych starych ludzi złączonych uściskiem płacze boleśnie.

— Gdzie on... mój syn?

— Niosą go tu...

Żywo leci biedna matka naprzeciw syna... te czarne mary...

W milczeniu młodzi akademicy składają swój ciężar.

— Mój Berti!

Ręka matki zrywa czarne sukno ze zwłok syna; w bladym świetle świecy uśmiecha się do niej martwa twarz szczęściem bezmiernem.

Pułkownik... zrozumiał ten uśmiech. Duszę jego syna wstrząsał ten sam zapal czynu, szczęście spełnionego obowiązku, szła ofiary, jaki i w nim niegdyś istniał na polach Magenty. Jego Berti... — z dumą przesuwają się ręka ojca po opalonych włosach syna, zginął jak żołnierz, jak bohater, czyż może być śmierć piękniejsza?

Śmierć Rudolfa bolała go jako ojca i jako żołnierza — było to coś w rodzaju dezercji z życia. Ten drugi za to... Berti jego zginął na stanowisku.

* * *

Gdy radca z Henrykiem poszli do ognia pani Anna z Janką zostały same.

I Janka tuli się do matki.

— Mamusiu, boję się czegoś...

— Zdenerwowana jesteś dziecko, idź połóż się spać, dla nas niebezpieczeństwa niema. — Biedni ludzie... przy takim upale połowa miasteczka spłonie. Żebyż się chociaż ktoś znalazł coby ratunkiem pokierować umiał, możeby zlokalizowali ogień. Ach Boże, przed dwoma laty trzydzieści domów spłonęło, co to była za nędza, niech Bóg broni.

— Mamusiu — ręka Janki kurczowo ujmuje dłoń matki — mnie tak dziwnie straszno. Módlmy się, moja mamusiu, o proszę, módl się ze mną...

— Dziecino, tyś doprawdy chora...

— Nie, matusiu, tylko módlmy się, proszę...

— Ja chcesz, dziecino...

— O Boże, Boże ulituj się... Mamo, chodźmy do tego ognia, moja mamo, moja mamo...

Nerwowo Janka zarzuca okrycie, taki szalony niepokój ma w duszy. Pani Anna usiłuje ją uspokoić.

— Ale dziecino, po cóż tam pójdziemy, cóż my tam poradzimy, zawadą byłibyśmy tylko. Moja Janinko, zdenerwowaną jesteś tem wszystkim, ot usiądź sobie koło mnie po dawnemu, moje dziecko, proszę...

— Mamo, tam coś się dzieje straszego.

— I cóżby to być mogło, dziecino, boisz się ognia po prostu...

— Nie, ma... mo...

Cisza, stary zegar tylko tyka cichutko swoje tik-tak, tik-tak.

Janka głowę przytuliła do kolan matki, napięcie jej nerwów, ten niepokój szalony ustępuje zwolna. Nagle zdaje jej się, że gdzieś bardzo blisko głos Bertiego powtarza... Janko.

Wrażenie to jest tak silnem, tak żywem, że Janka zrywa się nagle.

— Czy... czyś ty mnie wołała mamó?

— Nie dziecko, nikt nie wołał...

— Mamó ja... tak wyraźnie słyszałam.

— Co dziecko?

— Berti mnie wołał...

— Skądżeby się tu wziął pan von Roden o tej porze... zdrzemnęłaś się może dziecino...

— Nie mamó.

I znów ogarnia ją ten dręczący niepokój, a potem jakaś apatja, rozprężenie. Wyrzywa ją z tego stanu powrót ojca — stary radca jest wzruszony, zdenerwowany.

— Cóż tam ogień, ojczy? — pyta pani Anna.

— Zlokalizowany... pan von Roden energicznie prowadził ratunek od samego początku, był na wszystkich najbardziej zagrożonych punktach, ratował, co się dało... prawdziwie po bohatersku. — Radca urywa, jego oczy wilgotnieją nagle.

— I ojczy... i... — oczy Janki takie dziwnie rozszerzone, spoczywają na jego twarzy.

I radca krótko opowiada o śmierci Bertiego, z mimowolnym niepokojem patrząc na córkę.

Janka słucha — ona, która znała tę tęsknotę czynu, którą oddychała całe życie dusza Ber-

tego — rozumie, jaki szczęśliwy był w tej ostatniej chwili... Czuł się nareszcie potrzebnym komuś, swoim życiem ratował nędzny dobytek, ratował ludzi od bólu, od łez, od głodu może. Matce ratował dziecko...

A teraz, gdzież jego dusza...

Ten głos, który słyszała, byłże to ostatni głos przed śmiercią, którego przeczuła, czy pierwszy nowego życia!

— Szkoda człowieka — szepce radca — nasz Henryk wyciągnął go z ognia, ale Boże, uratował już tylko ciało od spalenia.

I Jance naraz przychodzi myśl, że te usta, które wczoraj paliły ją pocałunkami, nigdy już nie przemówią, nie pocałują, nie uśmiechną się, nigdy... nigdy...

Jakie to dziwne, straszne...

Wczoraj jeszcze - - i Jance wraca wspomnienie tego naprawdę ostatniego pożegnania — i wszystko co było potem..

I tą obawę, i ten niepokój, gdy myślała o jutrzejszym jego pojedynku z Henrykiem. Za kim prosić Boga, za kim się modlić, za kochankiem czy bratem... I oto Bóg rozsądził.

Ręka jej brata nie zabiła... z ognia uniosła nadto przeciwnika.

Nie krew ludzką, nie życie ludzkie na sumieniu, ale dziękczynienie matki, której uratował dziecko, modlitwa ludzi, których od nędzy ocalił, pójdzie za duszą jego.

I Janka płacze cicho... ale ten ból głęboki, spokój ma w sobie... dziwny.

* * *

— Pani Janko — po powrocie z cmentarza ręka pani Teresy opiera się na ramieniu młodej kobiety... — Moje... dziecko... na stoliku Bertiego był list do ciebie — chodź.. dam ci go...

W pokoju Bertiego jest jeszcze ten nieład jaki zostawił jego właściciel. Pani Teresa tłumaczy się przez łzy:

— Nie było czasu posprzątać...

Para służbowych pistoletów oczyszczonych z nabojami obok spoczywa w otwartym etui na stoliku.— Dreszcz wstrząsa Jankę. — Płaszcz rzucony przez poręcz stolka... czapka, taka jej znana.. szabla na łóżku... i tylko jego... niema.

Na stoliku obok pudełka z pistoletami leży list adresowany do niej... ostatni list... I palce Janki drżą otwierając niezaklejoną kopertę...

— Moja ty biedna jedyna... oby ci miłość dzieci zastąpiła moją... Dowidzenia... Jeżeli jest... dowidzenia...

Jest... Janka to czuje... Jest świat, gdzie spotkają się dusze, które się tu na ziemi kochały, by pieśń przerwana nucić dalej.

I w tym cudnym świecie, gdzie pożądań niema, ani grzechu, powita jej dusze... dusza kochana...

Pani Teresa patrzy w nią czerwonymi od łez oczyma...

— Syn mój... kochał cię, pani Janko?

Janka waha się krótką chwilę.

— Tak pani...

— Nie gniewaj się dziecko... za to... pytanie... chciałaś... dla niego porzucić męża... a teraz?...

— Berti spełnił swój obowiązek i ja mój spełnię...

— Miłość matki jest tą jedyną prawdziwą, w której coś z nieskończoności jest... cieszy mnie, że wracasz do dzieci pani Janko... — ręka pani Teresy kładzie się na ramiona Janki. Biedne dziecko, ciężka droga przed tobą.

Pani Anna Leszetycka zapełnia już czwartą stronę listu do... zięcia. — Opisuje mu wszystko, co się stało i prosi, by przysłał Jance dzie-

ci... wreszcie, by sam przyjechał — by jej tej drogi powrotnej nie utrudniał w niczem...

Gęsto padają łzy z szarych oczu i tworzą plamy na liście.

— Najlepiej będzie, jeżeli dzieci zaraz przesłesz i ze dwa miesiące zostawisz je i Jankę u nas... Kochałeś ją... co potem między wami zaszło, ile było w tem twojej, ile jej winy, nie chce wiedzieć; ale proszę cię na wszystko, nie utrudniaj jej powrotu do dzieci... bo to jedyna droga, gdzie jeszcze jej dusza szczęście i cel znaleźć może.

Janka na cmentarzu spotkała się z księdzem Jundziłem — było takie piękne ciche popołudnie. Jej zmęczona twarzyczka, smutne oczy współczuciem przejmują duszę księdza.

— Czego tu pani na grobach szuka, pani Janko... Tu leżą tylko ciała... proch, wracający do prochu... to co iskrą ducha było, wróciło do ojca... do Boga. A kto życie za drugich położył, ten tym czynem przeszłość okupił... Zgodzić się trzeba z wolą Bożą, pani Janko.

— Ja się jej poddałam... w pokorze...

— Ale płakać, ani rozpaczać nie trzeba... sądzisz, że Berti byłby zadowolony, widząc twój ból... kochał cię i pewnie chciałby zadowolenia twego, nie łez. — Trzeba zapanować nad so-

ba... uspokoić się... i w imię Boże zacząć żyć dla dzieci...

— Gdybyż obok obowiązków matki nie stały obowiązki żony... jak je spełniać? — rwie się z piersi Janki łkaniem...

— Jak karę... jak... pokutę... pani Janko. Ale chodźmy, odprowadzę panią do domu... I jedno, pani Janko, na wszelki ból, praca najlepsze lekarstwo... praca daje zapomnienie — skróca do minimum to nieskończenie długie życie. Bierz pani przykład z Mani, ona tutaj nie przychodzi wcale... dusza jej szuka duszy swego dziewczęcia, nie ciała.

Jankę czeka dziś w domu niespodzianka dwoje małych jasno ubranych chłopców, pędzi naprzeciw... czworo łapiąt czepia się jej sukni.

— Mama! mama!

— Moje dzieci!... jest w okrzyki Janku tyle ciepła... taka miłość serdeczna — i tak jej do brze w objęciach tych dzieci... To jasną główkę Tonka przyciska, to ustami do ust dziecięcych lgnie...

I gdy wreszcie we troje idą ku domowi, Janka czuje, że dopiero teraz stała się matką naprawdę... Nie razi jej już brzydota dzieci... bo je kocha...

— Mama, a tata też jest i miss Edyta...

— Tata także?... słoneczna radość Janki...
niknie...

Jest napięcie oczekiwania w jej duszy,
gdy staje wreszcie naprzeciw Leona...

Uprzejmie pan Rolski podnosi do ust rękę
żony — jego światowa natura szybko opano-
wuje sytuację.

— Przywiozłem ci dzieci Janko — raz jeszcze
podnosi rękę żony do ust rzucając półgłosem.
— Bądź im dobrą matką, tego tylko wymagam
od ciebie Janko... Matką dla nich naprawdę...
mnie żoną... z nazwiska tylko — dobrze?

Oczy Janki mają taki głęboko wdzięczny wy-
raz — kupił ją sobie tem dobrowolnem wyrze-
czeniem się swoich praw mężowskich na zawsze.

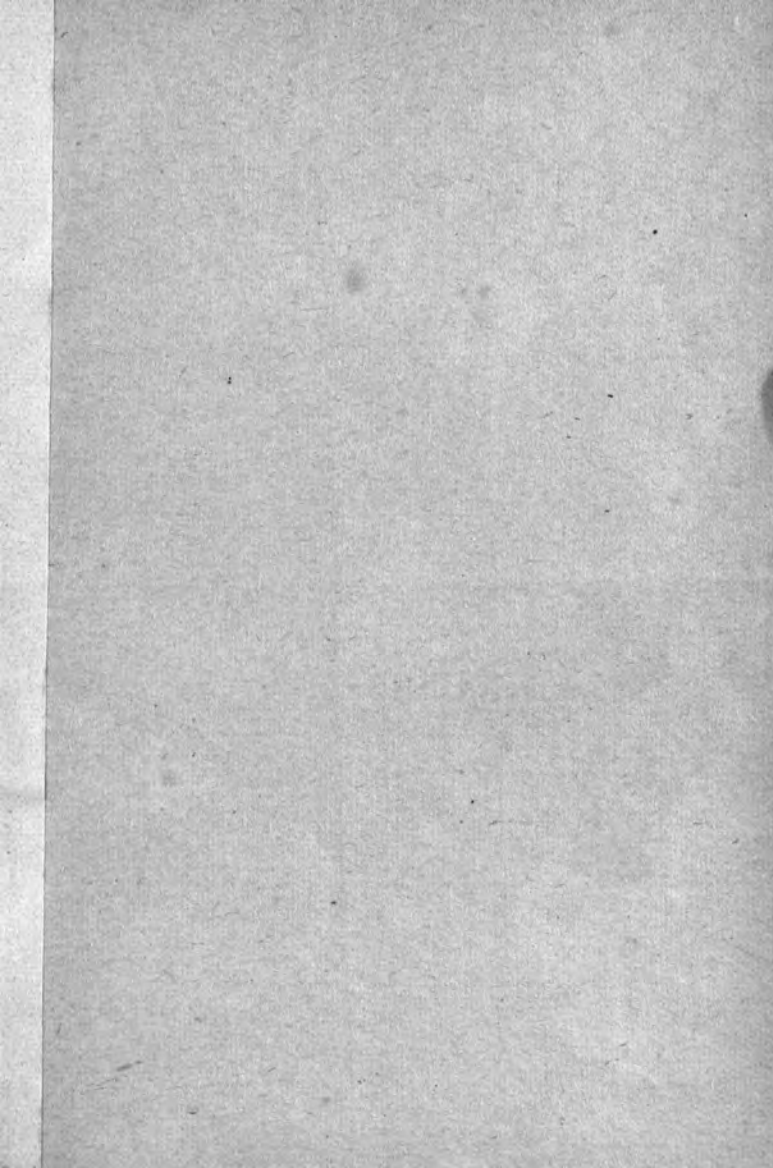
KONIEC.





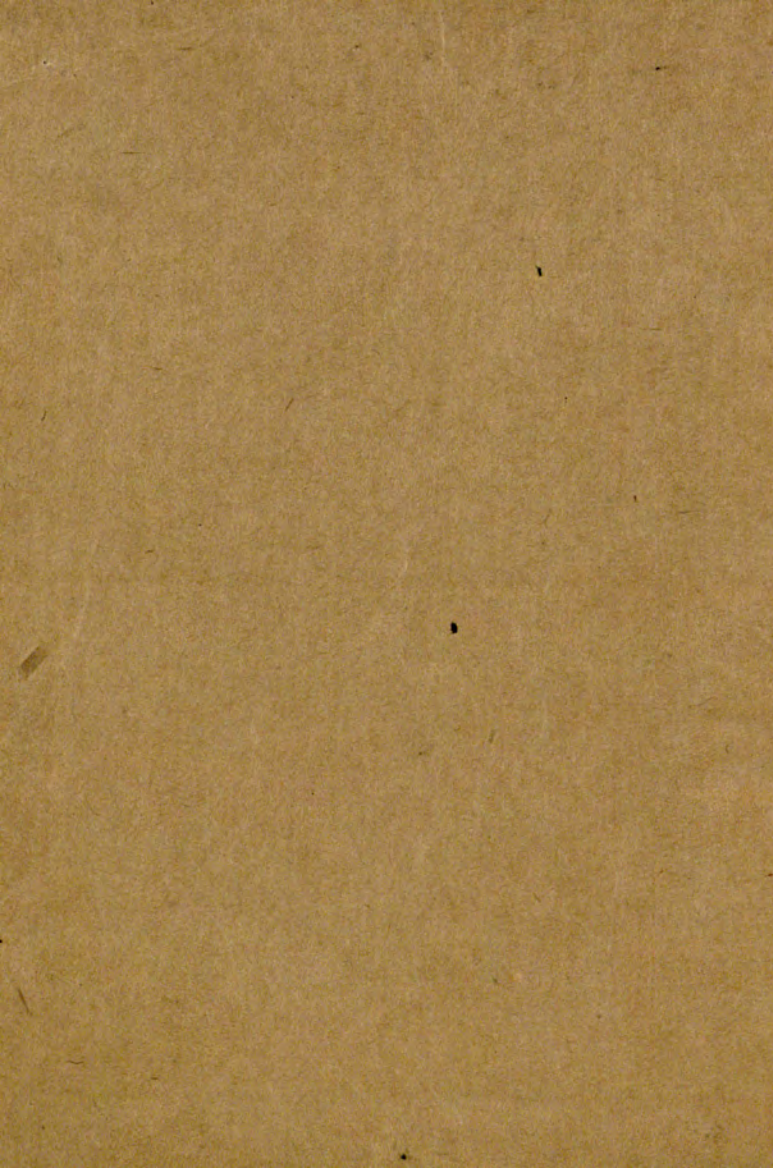












200 -

699402/13882

